Rok V. Marzec 1903. Nr. 3.

TEKA

CZASOPISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ.

Wychodzi raz na miesiąc.

Od niewoli Moskiewskiej, Austryackiej, Pruskiej,
Wybaw nas Panie!

Adam Mickiewicz: „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego“.

Przed zjazdem „Ogniwa“.

W początkach kwietnia odbędzie się we Lwowie pierwszy Zjazd „Ogniwa“, związku towarzystw kształcącej się młodzieży w Austryi. Powszechne zainteresowanie, jakie wzbudza nowa, największa z dotychczasowych w Polsce organizacya młodzieży, jakoteż przygotowania, jakie do samego Zjazdu robi zarząd i lwowskie towarzystwa, pozwalają przypuszczać, że Zjazd będzie liczny. Nie tyle jednak o samą liczbę uczestników, ile o ducha, jaki na tem zebraniu panować będzie, chodzić nam powinno. Pierwsze chwile bywają zwykle rozstrzygające dla strony wewnętrznej organizacyi, wnoszą do niej siłę, albo sieją rozstrój. — Przed „Ogniwem“ stoi cały szereg zadań do spełnienia. Musi ono stać się czynnikiem wywierającym rzeczywisty a nie formalny i fikcyjny jeno wpływ na kierunek umysłowy życia studenckiego, musi podnieść przedwszystkiem ton obrad naszych, który się w ostatnich czasach znacznie obniżył. Obniżeniu temu należy jak najenergiczniej przeciwdziałać, jakkolwiek uważamy je za objaw zupełnie naturalny. Po wielkich manifestacyach uczuć całej młodzieży, spowodowanych wypadkami ogólnonarodowej doniosłości, po procesach poznańskich, po Wrześni, Siedlcach, po takich nawet miejscowych wydarzeniach jak wybór Bojki lub spór o zachowanie polskiego charakteru lwowskiej

wszechnicy, gdzie udział młodzieży był poważny i nadawał na chwilę ton opinii całego narodu, przejść trzeba było z całym zasobem energii i zapału do spraw nie mniej istotnych i wielkich, do spraw wewnętrznych naszego życia.

Przejście to nie mogło jednak dokonać się od razu i bez znacznych zboczeń. Ze spraw wewnętrznych jęto się roztrząsać częstokroć najbłahsze, do dyskusyi wprowadzono elelement osobistej niechęci i współzawodnictwa.

Możemy wprawdzie z dumą wskazać na pomyślny w ostatnich czasach wzrost działalności prowadzonych przez młodzież towarzystw oświatowych, na pogłębienie i rozszerzenie prądu życia umysłowego w poszczególnych towarzystwach akademickich, szczycimy się poważnym zastępem młodych pracowników na polu nauki albo życia praktycznego, którzy już wyszli z naszych szeregów, albo je niebawem opuszczą, ale znów na przeciwnej szali widzimy całe masy kolegów, którzy ani życiem publicznem, ani zawodowem, ani naukowem zupełnie się nie zajmują, lub takich, których udział cały w sprawach młodzieży wyrażał się hałaśliwymi występami przy akcyi odprawianych wieców lub walnych zgromadzeń. Więc tamte, nie liczne na ogół, chociaż z każdym rokiem liczniejsze objawy dodatnie nie mogą zasłonić nam poważnych braków w życiu jednostek i organizacyi młodzieży.

Braki te winni mieć przed oczyma delegaci przyszłego zjazdu i poważnie naradzić się nad ich usunięciem. Nie chcemy obecnie obszernie sprawy tej omawiać. Do zarządu „Ogniwa“ wpłynęły zgłoszenia referatów o stanie i potrzebach naszych wyższych zakładów naukowych. Ten temat sam dla siebie wystarczyłby do napisania wielkiej książki. Przy jego omówieniu wykaże się, że wiele poważnych i żywotnych działów nauki nie ma na swych usługach ani odpowiednich kierowników, ani tych młodych sił, któreby w przyszłości do rozkwitu naukę naszą doprowadzić mogły, okaże się, że mając obowiązki i wiele tradycyi narodu wielkiego, wydajemy z siebie zastępy mniej niż przeciętnej miary. Są na wyższych zakładach naukowych seminarya, które nie wydały jeszcze żadnej pracy seminaryjnej, są pracownie naukowe złożone z kilkunastu sal swiecące nieobecnością pracujących! To wszystko trzeba będzie sobie na zjeździe jasno i otwarcie powiedzieć i wyprowadzić z faktów stwierdzonych odpowiednie konsekwencye.

Nasze zakłady wyższe wychowują jednak nietylko ludzi nauki, ale przeważnie przyszłych ludzi praktycznego czynu, zawodowców

w różnym kierunku. Czy odpowiadają one swemu zadaniu? Jak należy braki ich uzupełniać własnem ćwiczeniem, jakich reform domagać się mamy.

A po za tem leży cały obszar naszego życia akademickiego z jego zwyczajami bardzo szanownymi długą tradycyą otoczonymi ale częstokroć mocno już przestarzałymi, nasze organizacye towarzyskie na ogół dość bezwładne i ciasne. Tu zjazd winien wnieść wiele myśli twórczej i śmiałej. Koledzy z różnych towarzystw będą mogli wytykać ten i ów brak, byleby to się działo nie w sposób drażniący i z dobrą wolą.

Na ogół unikać należy wszystkiego, coby wpłynąć mogło jątrząco. Zjazd w Krakowie dwa lata temu wykazał, że obradować mogą obok siebie spokojnie i przychylnie ludzie wprost przeciwnych obozów. Statutowo wykluczone są wszystkie sprawy polityczne z obrad zjazdowych. Rzeczą zaś przewodniczących będzie nie dopuścić do zaognienia walki stronniczej, gdyby taka około sprawy innego rodzaju wybuchnąć miała. Na ogół wzgląd pierwszorzędny, dla pewnych odłamów młodzieży najważniejszy, wzgląd agitacyjny usunie się sam przez się z obrad zjazdowych na skutek tego, że między delegatami będzie przypuszczalnie bardzo mało ludzi szukających dopiero politycznych wskazań i kierunku.

Spodziewać się więc można, że zjazd kwietniowy udowodni wbrew zapewnieniom pewnych krytyków, iż cała młodzież zgodnie a poważnie zastanawiać się i radzić potrafi nad wspólnymi celami i nad podniesieniem etycznego, umysłowego i towarzyskiego życia młodzieży, nad wyrobieniem w sobie tych cech podniosłych, które stanowiły siłę przyciągającą polskiej kultury, które i nam dadzą podstawę do wielkiego i pełnego rozwoju.

Sama organizacya „Ogniwa“ powinna się stać naprawdę ogniwem łączącym te wszystkie kółka drobniejsze w jeden spoisty a mocny łańcuch, a równocześnie jednym tylko ogniwem w wielkim łańcuchu prac nad odrodzeniem narodowem.

W takiej myśli, w takiej intencyi życzymy nowej organizacyi młodzieży pomyślnego rozwoju.

Ewangelia czynu.

„Gdy zwracam się do was, ludzie z największego miasta Zachodu, obywatele Stanu, który dał krajowi Lincolna i Granta, mężowie wcielający w siebie wyraźnie i wybitnie to, co jest najbar-

dziej amerykańskiem w amerykańskiej duszy, czynię to nie dlatego, by kazać wam o niegodnej wygodzie życiowej, ale by pouczyć was o życiu intensywnem, życiu cierpienia i wysiłku, pracy i walki. Chcę kazać o najwyższem zwycięstwie, które osiąga nie człowiek dążący tylko do zadowolenia swych potrzeb, lecz ten, który nie unika niebezpieczeństw, przeciwności, gorzkich cierpień i z nich wysnuwa ostateczny i wspaniały tryumf".

Słowa te wyrzeczone przed trzema laty przez jednego z najwybitniejszych obywateli Stanów Zjednoczonych dziwnie wzruszają podstawami sądów naszych o ludziach z zachodniej półkuli. Przyzwyczailiśmy się w Europie patrzeć na Amerykan, jako na zbiorowisko giełdziarzy, fabrykantów i kupczyków. Czasy, w których Washington bił się za wolność, a Kościuszko i Pułaski chwytali za broń w sprawie amerykańskiej, wydają się nam dawno przebrzmiałe. Dziś dolatują nas stamtąd echa walki o zysk, prowadzonej co prawda przez nieugiętych i świadomych siebie ludzi, ale w których nie biją serca dla spraw innych, niż pieniądz. Wojna Hiszpanii ze Stanami wydawała się wielu z nas walką duchowych wzlotów romantycznych z przewagą brutalną pieniądza, i klęska Hiszpanii odczutą była jako cofnięce się, upadek ludzkości zmożonej siłą złota.

Przybywa nam dziś nader cenny dokument, który zmieni chyba sądy nasze o drugiej półkuli. Nietylko ze względów poznawczych jest on ważnym — bez porównania więcej wartą będzie zmiana opinii naszej, nabranie przekonania, że naród, który w ostatnich czasach najszybciej kroczy naprzód, czyni to dzięki sile ducha, a nie tylko sile pieniądza. Narody, które zawsze i wszędzie tylko o wzbogaceniu się myślały, musiały zginąć, zdaniem prezydenta Roosevelta. Tylko niezłomna wola połączona z silnemi zasadami moralnemi może jednostkę jak i naród uczynić wielkim. A jaką jest droga do wielkości, wskazuje on nam w swej książce (wyszłej świeżo w tłómaczeniu francuskiem) p. nap. „Życie o wysokiem napięciu" (La vie intense).

Wszystkie rozdziały przewiewa jeden potężny duch, nadający im tętno życia. Bo też o życiu w książce tej mowa. Jest to coś więcej niż pogląd, niż synteza zasad — książka prezydenta Roosevelta jest życia ewangielią, prawie że religijnym kultem przejętą. Pod względem technicznym jest to szereg luźny zupełnie rozpraw, przemówień i artykułów dziennikarskich, spowodowanych najróżnorodniejszemi okolicznościami. Jest w nich więc mowa i o kwestyi emancypacyi pracy, i o potrzebach wojska czy floty, o stronnictwach

politycznych i o dobroczynności publicznej. Góruje jednak nad wszystkiem głębokie, czynne umiłowanie życia we wszystkich dodatnich jego przejawach, zapał do walki ze złem o rozwój i pełnię tego życia, i pogarda dla wszelkiej abdykacyi, dla wszystkiego, co życie zuboża, co pola jego nie rozszerza. Więc wzgarda dla sybarytyzmu, wzgarda dla abstynencyi od czynu, wzgarda dla niedołężnego zatapiania się w ideowym radykalizmie. A gdy książkę tę czytamy, czuć, że pisał i mówił to człowiek głęboko wierzący w swą prawdę — a nadewszystko czuć, że człowiek ten pisać i mówić tak miał prawo, że głosi on nietylko program, ale zdaje nam sprawę z czynów swoich.

Przytoczone wyżej słowa, zwrócone do zebranych w Hamilton-Club w Chicago mężów stanu Illinois, najlepiej z całego dzieła streszczają poglądy prezydenta Stanów. Mamy wszelkie prawo twierdzić, że są one najwyższą syntezą ducha nietylko p. Roosevelta, lecz ducha całej dzisiejszej Ameryki północnej. Uznanie niebywałe, którem cieszy się nasz autor wśród współziomków, rozgłos zdobyty przez jego poglądy, zresztą sam charakter wewnętrzny instytucyj i politycznych aspiracyj amerykańskich są tego niezbitym dowodem. Dalsze rozdziały książki tą tylko zastosowaniem słów przytoczonych do praktycznych zagadnień i rozwinięciem poglądów w nich zawartych.

Powiadziałem wyżej, że książka jest ewangelią życia. Bo też autor nie pyta, czem jest życie, jakie są jego przyczyny, jaki przebieg. Dla niego życie jest obowiązkiem, najwyższym nakazem moralnym, czemś bezwzględnie istniejącem w idei, a zadaniem człowieka jest ideę tę w czyn wcielać. Życia się nie przeżywa lecz tworzy.

A twórczość ta, by w owocach swych doskonałą być miała, powinna obejmować życie pełne, ekspansywne, tętniące wysiłkiem mózgu i mięśni, bo tylko wtedy życie jest życiem, nie śmiercią. „Życie w bezczynnej wygodzie, w tym spokoju, który pochodzi tylko z braku woli i zdolności do wysiłku o rzeczy wielkie, jest jednakowo niegodnem narodu jak jednostki... Człowiek trwożliwie pokojowy nie wzbudza w nas podziwu. Do zachwytu pobudzić nas może tylko człowiek będący wcieleniem zwycięskiego wysiłku, człowiek, który nigdy nie skrzywdził bliźniego, gotów jest zawsze do podania pomocnej ręki przyjacielowi, posiadający jednak przymioty potrzebne do zwycięstwa w surowej walce życia współczesnego. Ciężko jest upaść — gorzej jednak nigdy nie próbować osiągnięcia

celu. W życiu tem dochodzimy do czegoś li tylko przez wysiłek. „Człowiek, uważający okres życia, wolny od konieczności pracy za czas użycia tylko, a nie jedynie za okres wzmacniania się dla przyszłej walki, człowiek taki jest zawadą na powierzchni ziemi, bez względu na to, czy sposób użycia był godziwym". Pogarda dla spokoju, dla abdykacyi, przez którą inni myślą często, że osiągną harmonię, przebija na każdej stronicy książki prezydenta. „Pokój jest wielkiem dobrem, to też podwójnie szkodliwem jest stanowisko gardłujących za pokojem, czyniących z niego synonim samolubnego i trwożliwego unikania wojny ze złem". Pokój, by być dobrym, musi być sprawiedliwym, bo „pokój niesprawiedliwy i upadlający, gorszym jest od wszelkiej wojny, a często pokój tylko przez wojnę zdobytym być może". A „największe zło wojny stokroć mniejszem jest, niż czołganie się przed niegodziwością". „Największą plamą na etyce międzynarodowej narodów europejskich w ostatniem dziesięcioleciu nie była wojna, lecz nikczemny pokój utrzymany dzięki współdziałaniu wielkich mocarstw". Sprawiedliwością nie jest pozwolenie decydowania każdemu o swoim losie, lecz kierowania sobą i innymi tak, by największa suma życia mogła być urzeczywistnianą, by potok cywilizacyi porwał całą kulę ziemską, by energia ludzkości mnożyła się przez energię wszystkich jej części. Obowiązkiem każdego narodu jak i każdej jednostki jest energię tę pomnażać i zdobywać nowe dziedziny dla kultury. Tylko ekspanzywne narody mają prawo bytu. Zniszczenie obcej kultury jest zbrodnią, ale rozszerzanie własnej jest moralnym nakazem, a tam gdzie ludność do równorzędnego współdziałania w pracy ludzkości jest niezdolną, powinno się ją do tego zmusić. Stosunki więc między jednostkami i społeczeństwami nie mogą być oparte na pustym paradoksie: „pereat mundus, fiat justitia". Bo „j u s t i t i a" będzie wtedy tylko, gdy przez nią „m u n d u s c r e s c i t". Wyższe formy współżycia trzeba czasem narzucać, gdy narody niżej stojące wznieść się do nich same nie mogą, gdyż sprawiedliwością jest tworzenie dobra i zwalczanie zła, a wszelka niższość jest złem. Tołstojowska tolerancya względem zła jest najwyższą niesprawiedliwością.

Kuba, zdaniem prezydenta Roosevolta, zdolną jest do decydowania o swej zależności lub niezależności od Stanów. Niemoralnem byłoby jednak przerwać jej okupacyę, póki bezład nie zostanie z wyspy usunięty. Opuszczenie natomiast Filipin byłoby równoznacznem oddaniu ich na pastwę oligarchii lub na łup pierwszemu lepszemu mocarstwu, byłoby więc zastąpieniem wojny przez zło

gorsze — a jeśli Stany uwolniły Filipiny od ucisku hiszpańskiego, to nie po to, by pozwolić im pogrążyć się w dzikim bezładzie.

Cała historya wewnętrzna Stanów Zjednoczonych jest dowodem, jak dalece ekspansya cywilizowanego społeczeństwa na rzecz niekulturalnego, jest pracą dla sprawiedliwości, dla wcielenia w praktyce wyższych form życia, dla przyszłej harmonii. Gdyby nie czteroletnia wojna domowa, Stany nie uszłyby anarchii panującej w Ameryce południowej. Dla stworzenia dzisiejszej ich jedności potrzeba było potoków krwi. Gdyby ludzie, ktorzy w 1861 r. do harmonii dążyli, opierali się tylko na tej zasadzie, oszczędzilibyśmy setek tysięcy istnień, setek milonów dolarów. Co więcej, zaoszczędziwszy całą krew przelaną i skarby wydane, zapobieglibyśmy rozdarciu serc wielu kobiet, rozbiciu wielu ognisk rodzinnych i kraj nie przeżyłby tych miesięcy żałoby i upokorzeń, gdy zdawało się, że wojska nasze idą na zagładę. Moglibyśmy uniknąć wszystkich tych męczarni, unikając wprost walki. Ale uczyniwszy tak, wykazalibyśmy, że jesteśmy babami i że nie jesteśmy zdolni do zajęcia miejsca między narodami wielkimi". Bo, gdy chodzi o czyny wielkie, tylko te narody podjąć je mogą, które mają „dostojne dusze"; one jedne nie cofną się przed niczem i słusznem jest, by niedołężne społeczeństwa usuwane były z ich drogi. „Dzięki ci Boże", woła wreszcie prezydent Roosevelt, „że żelazo, któreś wykąpał w krwi ojców naszych, tych ojców naszych, którzy podtrzymali mądrość Lincolna i ze szpadą lub karabinem szli w szeregach Granta"!

Dumniej i z większą wiarą przemawiać chyba trudno. W słowach tych czuć niezwykle jasną świadomość godności własnej — wartości moralnej spełnionych czynów.

A z dumą tą połączoną jest nierozerwalnie wzgarda dla wszelkiej nieudolności, dla braku woli, dla doktryny uniemożliwiającej twórczość. Jeśli ideał swój postawimy po za światem, dowiedziemy tem tylko swego kalectwa duchowego, braku energii. By cośkolwiek do skutku doprowadzić, trzeba wolą przeszkody łamać, kruszyć przesądy, ale liczyć się też i z istniejącymi warunkami i z danego materyału życiowego gmach wznosić. Bez tego czyn nigdy spłodzonym nie zostanie i człowiek nie wyjdzie po za błędne koło formułek i doktryn. Wola chcąca bez względu na istniejące warunki ideał swój urzeczywistnić wprowadza rozdźwięk między nim a życiem i nietylko, że czynem się nie objawi, ale jeszcze czynom innych przeszkodzi. Wszak byli i w Stanach ludzi, którzy po rozpoczęciu wojny starali się jej przeszkodzić, którzy nawet Filipiny przeciwko

własnej ojczyznie podtrzymywali. Dla „głupiego, śmiesznego, humanitaryzmu gadatliwych ludzi siedzących spokojnie w domu", rodacy ich, ludzie czynu, niejedną kroplę krwi przelali zbytecznie. Płytkie doktrynerstwo, nieumiejętność tworzenia życia z ideałów, zasłaniająca się płaszczykiem zasad, odrzucaniem kompromisów, unikaniem wszelkiego oportunizmu, są to przejawy, o których autor nasz nie może wspomnieć nawet bez wyrażenia wzgardy. Ludzie piorunujący ze swego Olimpu na wszelki mozolnie dokonany czyn twórczy, który liczy się z konieczności z istniejącymi kierunkami społecznych energii, ludzie ci godni są co najwyżej politowania. Radykalizm z zasady w jakimkolwiek kierunku zapomina o tem, że słowo „kompromis" znaczy „pogodzenie" nie zaś „abdykacya". Bez przymierzy, bez formowania nowych rzeczy ze starych byłaby wszelka twórczość niemożliwą. Tylko z nikczemnością kompromisów być nie może, a oportunizm jest zbrodnią tylko wtedy, gdy jest on wyrzeczeniem się celu. Ale zbrodnią jest także demagogiczne rzucanie haseł nie do spełnienia, nikczemnością hamowanie czynu i osądzanie go ze stanowiska doktryny. Taki radykalizm ideowy nie jest wyższością moralną — gdyż człowiek praktyczny może mieć wyższy nawet ideał od człowieka doktryny. Jest to tylko... głupota.

By módz jednak czyn rzeczywiście twórczy wykonać, czyn pomnażający ocenę intenzywności życia, trzeba bezwzględnej czystości pobudek czynu. Z drugiej strony potrzeba zgłębienia rozumnego i odczucia pobudek cudzych. Ogromna część dzisiejszych walk klasowych, partyjnych. wyznaniowych jest wynikiem braku odczucia potrzeb i dążeń ludzi innych. Jedyną na to radą jest zbliżenie się wszystkich do wszystkich, demokratyzacya, wyciągnięcie jednostki z zamkniętej jej sfery i połączenie jej ścisłemi węzłami z całem społeczeństwem. Obywatel amerykański w szkole zaczyna już ocierać się o ludzi wszystkich klas, a niema w Stanach rodziny, którąby nie posiadała członków swych we wszystkich sferach; miliarder jest krewnym portowego tragarza. Demokratyzacya ta uniemożliwiła tworzenie się zamkniętych kast, a wszędzie stosowane koleżeństwo utrzymuje ten demokratyczny charakter narodu. Wynalezienie wspólnych celów dla ludzi o dążeniach rozbieżnych i koleżeństwo szczere w dążeniu do tych celów jest główną dźwignią społecznego zdrowego życia. Wszystko jedno, czy koleżeństwo to się zawiąże na ławie szkolnej, czy w stowarzyszeniu zawodowem, czy w wyborczej organizacyi. Chodzi o to, by jednostka jak najwięcej innych jednostek poznała i oceniła, by im jak najwięcej ze

swego „ja“ oddała i od nich nawzajem wiele mogła otrzymać. Powikłanie takich związków koleżeńskich stwarza bezwzględną silidarność całego narodu. To wzajemne ocenienie i uznanie jest najdonioślejszym rezultatem demokratyzacyi. W takiej koleżeńskiej demokracyi nie ma pola dla prowodyrów o złej wierze, dla demagogów — ich wartość wewnętrzna okazuje się od razu, a „charakter“ t. j. całokształt etycznych pobudek i podporządkowana im praktyczna wola weźmie zawsze górę nad inteligencyą służącą złej woli. Demagog, by stać sie rzeczywistym wyrazem społeczeństwa, musi podzielić duszę jego, a zatem przestać być demagogiem. A na to, by przy silnej woli praktycznej rozwinąć prawdziwie obywatelską działalność, trzeba kierować się jedynie dzisięciorgiem przykazań i zasadą „miłuj bliźniego jak siebie samego“, i mieć zupełne poczucie odpowiedzialności, zaszczepione przez wychowanie.

O wychowaniu traktuje prezydent Roosevelt w osobnym rozdziale swej książki. Streszczać go tu nie będę — powiem tylko, że słusznie gani on europejskie szkoły za ich szematyzm, za nieumiejętność wyrabiania silnych charakterów, jedynie stanowiących o wartości człowieka. Zresztą wychowanie amerykańskie traktowane jest specyalnie przez tylu autorów kompetentnych, i tak ogółowi znanych, że książka p. Roosevelta wielu nowych poglądów na szczegóły systemu pedagogicznego nie przynosi. Jakim zaś jest cel wychowania — jasnem jest z całokształtu poglądów autora.

Pięknych kart kilka poświęconych jest sprawie społecznej dobroczynności, ale nie tej sensymentalnej dobroczynności, która, opiekując się, poniża, lecz dobroczynności pojmowanej jako „czynienie dobrze“ innym. Bezinteresowne poświęcenie się dla jakiegoś celu jest nietylko wypływem szlachetności, ale w skutku swoim szlachetność tę potęguje. „Większość mężczyzn i kobiet prowadzących życie czynnie poświęcone rozumnej działalności dla innych odznacza się bez wąjątku jakimś dziwnym wyrazem wzniosłości i pogody duchowej“. Jest to także najwyższa forma koleżeństwa społecznego, tak, jak je autor pojmuje.

Żadna synteza poglądów wyrażonych w dziele prezydenta Roosevelta porównać się nie da z własną jego syntezą, podaną w pierwszej przemowie. Nie możemy też tutaj przytoczyć całej książki w cytatach. Jeśli jednak sprawozdanie to choć kilka czytelników jej pozyska, jeśli choć jeden Polak odczuje, to, co ja odczuwałem czytając te słowa wiary, woli zwycięstwa, będę uważał cel artykułu mego za osiągnięty. Jakieś zdrowie i moc niespo-

żyta bije z książki — czytając ją wznosi się na wyżyny, z których odrazu jasno i pogodnie widać zadania życia. Jest to książka, która „moc w kości wlewa“, a spokój w duszę. *Elion.*

Rzut oka na Prusy Królewskie.

Jeżeli istotne stosunki i realne warunki, wśród których społeczeństwo zaboru pruskiego w ogólności żyć i rozwijać się musi, rodakom z drugich zaborów zbyt mało, względnie zbyt powierzchownie są znane, to Prusy Królewskie, jak je teraz nazywają, Prusy Zachodnie, są ziemią, o której narodowo-politycznem położeniu poza granicami zaboru pruskiego rzadko kto dobrze jest poinformowany. Kraina ta, na której w XV. stuleciu przodkowie nasi z zakonem krzyżackim heroiczne staczali walki, uchodzi dzisiaj za zupełnie zniemczoną, za stracony jakiś posterunek. Znajomość uroczych wód morskich w Copotach i ślicznego naszego Gdańska — otóż wszystko, co wśród Warszawiaków, odwiedzających brzegi Bałtyku, napotkać można.

Ażeby Czytelników „Teki“ pobudzić do zainteresowania się Prusami Królewskiemi, dajemy niniejsz rzut oka na położenie narodowe zapomnianej tej dzielnicy.

Ludność Prus Zachodnich jest mieszaną. Cyfry nzjlepiej tego dowiodą: na 1000 mieszkańców przypada Polaków 344. Dla porównania dodać należy, że w W. Ks. Poznańskiem odnośna liczba wynosi 601. Ażeby niefortunne nasze położonie dokładnie ocenić, zważyć trzeba, że parafie katolickie na kresach i po wszystkich miastach narodowościowo są mieszane, co germanizacyę przez kościoł nadzwyczaj ułatwia. Liczba Polaków różnie na poszczególne powiaty się rozkłada. Zaledwie w kilkunastu przewyższa połowę ogólnej ludności. Miast tak przeważnie polskich, jakiemi w W. Ks. Poznańskiem są: Poznań, Gniezno, Inowrocław i mniejsze miasta, które tem samem tworzą środowiska choćby skromnego życia umysłowego, ruchu narodowego i ekonomicznego, u nas w ogóle niema. Po małych miasteczkach oddawna osiadłe rodziny zajmują się z pradziadów rolnictwem, w ostatnich zaś czasach drobnym handlem, wolno lecz stale się powiększający zastęp kupców i przemysłowców po miastach średnich, po zatem liczna nieraz, lecz narodowo mało uświadomiona klasa robotnicza, oto obraz mieszczańskiej ludności polskiej.

Świecka inteligencya zawodowa — 90 prc. maturzystów wstępuje do seminaryum duchowego — jest nader szczupła, a ta starym zwyczajem się kierując, względnie okolicznościami niekiedy zmuszona, z Niemcami obcuje. Nader ważną pozycyę stanowi kler, którego większa połowa jest narodowości polskiej. Pewna część zajmuje się energicznie sprawą społeczną, organizując towarzystwa lub zakładając i nader umiejętnie prowadząc banki, spółki spożywcze, spółki handlujące towarami bławatnymi itd., instytucye, które świetnie prosperują i wypierają żywioł niemiecki na zachód. Inicyatorem i prewodyrem we wszystkich tych dążnościach jest ks. Boldt, który z zadziwiającym nakładem energii i inicyatywy wiele takich instytucyj do życia powołał i ciągle jaszcze powołuje. Rząd naturalnie wrogo dla ruchu tego usposobiony, a władza duchowna w sposób dla siebie poprostu upokarzający i niegodny ulega, a jeszcze bardziej dawniej ulegała wpływowi nieprzejednanego wroga Polaków, eksministra Gosslera, obecnego naczelnego prezesa prowincyi. Ziemiaństwa szlacheckiego w Prusach Królewskich bardzo mało, a te nieliczne rodziny, które się jeszcze ostały, częstokroć, miwo dobrej pozycyi majątkowej, egoizmem wiedzione, sprzedają majątki komisyi kolonizacyjnej. O szczupłej garstce inteligencyi świeckiej już wspomniałem. Brak jeden w zaborze pruskim ogólny, i u niej się zaznacza: brak wykształcenia politycznego i brak politycznego ideału wogóle. Nadto fatalnie uwydatnia się pociąg do zasklepienia się w prowincyonalizmie politycznym i chęć nieraz nieuzasadnionego przekładania dzielnicy własnej nad inne. Dość rzadko znajdziesz u członka naszej inteligencyi więcej, aniżeli świadomość „niesprawiedliwości pruskiej“. Zachowuje on zresztą wobec kwestyi żywotnych stanowisko najbierniejsze, nie dając prawie nigdy inicyatywy nielicznemu mieszczaństwu i szerokim kołom drobnego ziemiaństwa, t. zw. gburom. Cała energia polityczna inteligencyi, która w stosunkach normalnych przewodniczyć winna społeczeństwu, tworząc dla niego ideały polityczne i kulturalne, „wyładowuje się“ na przypadkowych zjazdach sąsiedzkich, gdzie „panie tego“ utyskiwują na złe „konstelacye polityczne“, na „butę i na niesprawiedliwość pruską“, na „fałsz pruski i obłudę“; ostatecznie kiedyś — tak rozumują — skończyć się musi ta pruska gospodarka, niech tylko Moskale przyjdą, bo ostatecznie kiedyś napewno tutaj zapanują, to zobaczymy, jak Prusacy pójdą w kąt, a nam jak będzie dobrze“. A tymczasem nawet na krótszy czas obmyślanej pracy nie ma, nawet po dworach, gdzie dla panien dorastających przewyborna

do tego nadarzałaby się sposobność, dzieci pochodzących ze sfer robotniczych czy włościańskich nie uczy się ani pisania ani czytania. Młodsze pokolenia miejskich i wiejskich sfer ludowych tym sposobem w szkole niechybnej podlegają giermanizacyi. Często z domu nic nie wynoszą nad możność władania językiem ojczystym i bardzo niejasne poczucie narodowe, gruntujące się przeważnie na niechęci do Niemców jako do innowierców, lutrów. W okolicach o bardzo przeważającej ludności niemieckiej jest objawem wcale nierzadkim, że dzieci rodziców mówiących tylko po polsku, odpowiadają po niemiecku.

Jeżeli postaramy się zbadać przyczyny bierności politycznej inteligencyi zachodnio-pruskiej, to prócz braku wykształcenia politycznego i inercyi, czynników w zaborze pruskim prawie wszędzie równych, znajdziemy przyczynę trzecią: zawisłość materyalną od otoczenia niemieckiego. Czynnik ten odgrywa rolę wybitną szczególnie na kresach. Odsetek ludności niemieckiej jest tam szczególnie wielki, a polska inteligencya zawodowa jest stosunkami zewnętrznemi i położeniem materyalnem zmuszona rachować się z otoczeniem niemieckiem. Praca narodowa potrzebowałaby tutaj jak największej liczby szermierzy, a stosunek rzeczywisty wymaganiom tym najzupełniej się sprzeciwia.

Daliśmy niniejszem obraz Prus królewskich, a mianowicie wykazaliśmy, jak przedstawiają się smutne strony naszego życia narodowego. Ma ono atoli i dodatnie swoje strony, odróżniające naszą dzielnicę nieraz korzystnie od dzielnic innych. Prusy Królewskie posiadają silną warstwę drobnego ziemiaństwa „gburów“, bardzo podatnych do pracy narodowej obmyślanej na czas dłuższy. Obok bardzo zdrowego sądu posiadają oni wytrwałość w działaniu, wyrobione poczucie obowiązku, odznaczając się cnotą u nas rzadką, oszczędnością, która pozwala im trzymać się ziemi odziedziczonej wypierając nawet często innoplemieńców. Do pracy zbiorowej okazują skłonność, podjętej uporczywie się trzymają; rzeczą najważniejszą, ażeby ich do niej nakłonić, dać inicyatywę. Pocieszającem jest, że sfery te nie ustępują. Przez prywatne parcelacye większych majątków na drobniejsze działy nowe im przybywają siły z kół dotychczas na uboczu stojących, z kół robotniczych, które albo na obczyźnie, albo też wśród swoich dorobiwszy się, na ziemi się okupują.

Nakoniec kilka słów o prasie, owym rozsadniku pojęć współczesnych. Dzienniki w Prusiech Królewskich wychodzące przed

piętnastu laty zaledwie 10.000 liczyły prenumeratorów. Dzisiaj liczbę ich śmiało podać można na 70.000. — Najsympatyczniejszem z pism jest „Gazeta Gdańska“ pod obecnym kierunkiem, jest on szczerze narodowy; ton zaś „Gazety Gdańskiej“ jest poważny, pełen godności *).

„Pielgrzym“ dawniejszy długoletni jedyny przedstawiciel prasy zachodnio-pruskiej, dzisiaj zupełnie podupadł. Złożyły się na to różne czynniki: z jednej strony charakter jego kościelno-informacyjny, z drugiej zaś brak szczerego, energicznego tonu narodowego. Pozostają jeszcze „Gazeta Toruńska“ z dwiema mniejszemi gazetkami i „Gazeta Grudziądzka“. „Gazeta Toruńska“ czytywana przez mieszczaństwo i inteligencyę, mogłaby wywierać wpływ nietylko szeroki, lecz i nader dodatni. Redakcya „Gazety Toruńskiej“ jest tymczasem niedbałą, a w dodatku choruje na ciężką, u niej wstrętny charakter przybierającą, chorobę, na moskalofilstwo najskrajniejsze.

„Gazeta Grudziądzka“ to *enfant terrible* naszej prasy. Nakładca jej i redaktor p. Wiktor Kulerski, który dla „względów narodowych“ porzucił miejsce pruskiego nauczyciela ludowego, przez niebywałą, iście amerykańską reklamę, tysiączne zjednał sobie zastępy czytelników, głównie z pośród ludu robotniczego. Gazeta jego rozchodzi się w 50.000 egzemplarzach, z których atoli niemal dziesiątą część stanowią egzemplarze darmo rozsyłane. Nie można zaprzeczyć, że p. Kulerski posiada z tych wzgledów poważne, acz mimowolne zasługi około podniesiania czytelnictwa polskiego w Prusiech Królewskich. Na kierunek i rodzaj pracy jego atoli pod żadnym warunkiem godzić się nie można. Z każdego numeru gazety wieje duch prywaty, a na każdym kroku przekonać się można, jak p. Kulerski działalność publicystyczną — jeżeli wypada nam krzykactwo jego tak zaszczytnem darzyć mianem — używa do wysunięcia własnej osoby na plan pierwszy. Plecy ludu przez pana K. zahypnotyzowanego i omamionego, to szczeble drabiny, po której pan K. chce dojść podczas przyszłych wyborów do stanowiska posła do parlamentu niemieckiego. Ogromne, niaspożyte zasługi sobie przypisując — artykuły informacyjne o p. Kulerskim w „Kraju“ i „Illustracyi Polskiej“ pomieszczone, służą pomiędzy innemi za materyał dowodowy — drugim wszystkich zasług odmawia, a zdaje

*) Powyższa charakterystyka „Gazety Gdańskiej“ jest zdaniem ściśle osobistem naszego korespondenta. *Red.*

się, że gotów nawet przeciwko oficyalnym kandydaturom wyborczego komitetu centralnego własną kandydaturę podtrzymywać. Identyfikując się z szerokiemi warstwami ludowemi, chłopskiemi — nie przemawia na zebraniach ludowych inaczej, aniżeli „my chłopi“ — znajduje szalone zadowolenie w tem, że będzie mógł „panom“ dorównać, z którymi już od lat o prym się ubiega, jeżdżąc z nimi razem — czy w charakterze „chłopa“? — pierwszą klasą z pielgrzymką do Rzymu i robiąc nader kosztowne podróże „reprezentacyjne“ do Zakopanego i innych stron Polski. Ambicya i bezdenna próżność na wewnątrz, blaga na zewnątrz, oto najwybitniejsze cechy charakteru p. Kulerskiego, samozwańczego kandydata na posła do parlamentu niemieckiego.

Z krótkich powyższych uwag wynika, że nasza prasa, ogółem wziąwszy — nie stoi na wysokości swego zadania.

Gdańsk.

Korespondencye.

Listy z Londynu.

Londyn, w lutym.

I. Koledzy! Chociaż już dawno wyjechałem z kraju i bawię za granicą teraz dopiero przepłynąwszy cieśninę i zamieszkawszy na wyspie brytańskiej, czuję, żem zię z Wami rozstał. Po wszystkich miastach Europy perozmieszczaliśmy nasze posterunki, potworzyliśmy wszędzie środowiska, w których żyją uasze obyczaje, nasze ideały i uczucia, działają nasze myśli; wszystkie te środowiska mniej lub więcej ściśle są związane z krajem, stamtąd czerpią swego ducha. Dlatego to pracując w którymkolwiek z uniwersytetów zagranicznych, każdy z nas może pozostać członkiem tej jednostki zbiorowej jaką jest „młdzież polska“; nawet więcej — prawie we wszystkich miastach Europy może brać bezpośredni udział w życiu i pracach spacyalnego odłamu czy typu młodzieży narodowej. W Londynie tego nie ma. Czuję, że jestem na prawdę za swymi, że jestem wyłączony ze środowiska, w którem dotąd żyłem i precowałem, że stoję obok Was a nie wśród Was.

Pozostając przez cały ciąg dotychczasowego mego życia stndenckiego w ciągłem ścisłem porozumieniu z Wami, tak się przyzwyczaiłem do niego, że mi go teraz brak; wzajemne porozumienie

jest jednym z czynników, które kształtują dusze, jest naturalna funkcyą potrzebną naszemu życiu duchowemu; potrzebnem jest człowiekawi udzielanie innym pewnych myśli, które doszły do dojrzałości i jasnych konturów dlatego, bo inaczej tracą one celowość swego istnienia i przechodzą w próżną grę mózgu. Oczywiście to nie byłoby wystarczającą pobudką do tego, aby bezpośrednio przenieść ciąg mojego porozumienia z kolegami na drogę piśmienną, bo to już jest znacznie cięższa maszyna, tak dla strony czynnej, jak dla biernej; potrzeba w tych warunkach, aby to, co się ma do powiedzenia, posiadało dostateczną racyę ogłoszenia.

Otóż to w istocie w danym wypadku ma miejsce. Teraz, kiedym się z Wami rozstał, mam Wam więcej do powiodzenia, niż nieraz przez długi przeciąg moich studyów na kontynencie. Każdy dzień niemal przynosi mi nowy fakt, nową obserwacyę, myśl nową, którąbym chciał Wam zakomunikować, nie dlatego, że mnie w szczególności zajmuje, ale dlatego, że ściśle dotyczy interesów nam wspólnych; rzeczy ważne dla naszego życia koleżeńskiego, rzeczy, które należycie pojęte nieraz zmienićby mogły dużo w tem życiu.

Szczególna doniosłość tego, co mam Wam do powiedzenia teraz, pochodzi nietylko stąd, że przyjechałem do kraju tak ciekawego, jak Anglia, którego poznanie jest dla nas z wielu względów doniosłem; nie. Wyobraźcie sobie, że pochodzi także stąd właśnie, że się z Wami rozstałem. „Nudno ci poprostu“, pomyśli niejeden, „i dlatego piszesz“. O, nie! Zbyt cenię „Tekę“, abym do niej posyłał coś, co powstało z nudów. A co najważniejsza, wcale mi tu nie nudno. Przeciwnie — i to chciałbym dziś w pierwszej linii zaznaczyć i wytłómaczyć, że mi tu, pomimo samotności, nie jest nudno; nawet powiem więcoj: po krótkim pobycie już zupełnie jasno zdaję sobie sprawę, że tu właśnie nie ma tego pierwiastku, który przeważnie po koloniach z a g r a n i c z n y c h tworzy nudę, zniechęcenie, chęć jak najprędszego wyjazdu już nietyle z tęsknoty za krajem, ile z nienawiści do miejsca pobytu. Tym pierwiastkiem jest małość, ciasnota i niedojrzałość otoczenia, w jakiem się żyje.

Otóż właśnie to wyosobnienie się z naszych środowisk zagranicznych i spojrzenie na nie z boku, nauczyło mnie pewnych rzeczy, któremi się chcę z Wami podzielić. Uczynię to na wstępie, zanim przystąpię do właściwego tematu moich listów, t. j, samego Londynu i Anglii.

Nasze środowiska zagraniczne przeważnie posiadają tak stęchłą atmosferę, że wprost uniemożliwiają egzystencyą. Prawdę powie-

dziawszy, sami jesteśmy temu winni, jeżli nie zupełnie, to w pewnej części. Zamiast się starać o to, aby wejść w społeczeństwo, w jakiem się znajdujemy — w prawdziwe społeczeństwo, my wszędzie tworzymy sobie otoczenie sami i niezmiernie dużo czasu i duszy wkładamy w nie, nie zdając sobie z tego sprawy, że pomimo całej tej pracy — takie otoczenie nie może nam wystarczyć. Człowiek cywilizowany przyzwyczajony jest do życia w bez porównania zawilszym i bogatszym organizmie, niż mogą stworzyć drobne zorganizowane kolonie emigrantów. Społeczeństwo w ściślejszem tego słowa znaczeniu z wszystkiemi swemi funkcyami tak olbrzymio wzbogacającemi się z biegiem cywilizacyi zawsze tą lub inną drogą musi wchodzić do naszego życia codziennego; musimy codzień patrzeć na życie, obyczaje i powszednie czynności ludności, wśród której żyjemy, musimy choćby przypadkiem natrafiać na objawy jej życia społecznego, czy to w pismach, czy to na zebraniach, czy w zetknięciu z kolegami w zakładzie naukowym; musimy patrzeć na domy, ulice, ogłoszenia, roboty, zabawy — słuchać mowy, śpiewów itd. itd. Przecież różny stopień zainteresowania, jakie w nas budzą te rozmaite cząsteczki życia społeczeństwa, muszą wywoływać zupełnie różną atmosferę naszego życia wewnętrznego. Przecież ta niezmiarna obcość i obojętność, jaką odczuwamy przed tym kalejdoskopem życia, jakie nas otacza, zapatrzeni li tylko w lokal naszego stowarzyszenia i zainteresowani tylko życiem naszego grona koleżeńskiego — ta obojętność jest karykaturalną i anormalną.

Gdybyśmy więcej wiedzieli o kraju, w którym mieszkamy. o mieście, jego budowach i gmachach, o obyczajach ludności, gdybyśmy baczyli pilnie na jej życie polityczne i społeczne — ile duszy zyskałoby dla nas nasze powszednie otoczenie! Czy to nie pobudziłoby naszej krwi do szybszego krążenia, niż to wieczne przeżuwanie stosunków i stosuneczków panujących w naszem gronie, tych wszystkich trudności i dyplomacyi, dla których na dobrą sprawę i palcem kiwnąć nie warto. Poprostu potrzebujemy do normalnego życia, aby w żyłach naszych krążyła krew szerszego zbiorowiska — jest to hygieniczną potrzebą. Powiecie może, że tem szerszem zbiorowiskiem jest dla nas zawsze społeczeństwo polskie, choćbyśmy za morzami mieszkali! A otóż właśnie, że nie. Gdyby tak było, tobyśmc się do głębszej solidarności poczuwali w naszych koloniach zagranicznych. Oczywiście życiem naszem kierować, kształtować naszą pracę, nakreślać plany i cele życia może tylko natchnienie, mające źródło swe w naszym narodzie, a nie w jakiem-

kolwiek obcem społeczeństwie. Ale o ile chodzi o te bezpośrednie pobudki, które nasze funkcyonowanie utrzymują w należytem napięciu, warunkują pogodę naszego usposobienia, zdrowie naszego życia codziennego — te czerpiemy z bezpośredniego otoczenia. Te potrzeby hygieny moralnej skłaniają nas w ogóle do szukania towarzystwa. Oczywiście nie chcę powiedzieć, abyśmy szukali towarzystwa obcych, a unikali swoich; ale uważałbym za pożądane, aby podstawę do naszego obcowania stanowiły raczej sprawy dotyczące szerszego, miejscowego społeczeństwa, niż ciasne grono kolonii polskiej. Bo przecież nia zajmujemy się ciągle w rozmowach naszych krajem naszym i narodem, rozmowy nasze muszą często i bardzo często schodzić na tory lżejsze, dotyczące bezpośrednich wrażeń codziennego życia. Oczywiście w świetle tego poglądu zupełnie inaczej musi się ukształtować nasze życie i współżycie za granicą; musi powstać zupełnie inny typ kolonii polskiej. Do tego powrócę w następnym liście, dotykając warunków utworzenia Polonii w Londynie.

Przewiduję, że niejeden zechce zaprotestować przeciwko temu, aby tyle czasu nie poświęcać społeczeństwu obcemu — temsamem ujmować go Polsce, Polakom. To też bezwątpienia jedyną istotnie normalną egzystencyę może dać życie w swojem własnem społeczeństwie, z którem wiążą nas głębokie węzły narodowości, tradycyi, własnych obyczajów, wspólnych interesów itp. Bezwątpienia w lepszych warunkach życia są pod tym względem nasi koledzy w kraju; te warunki zawsze są i pozostaną naszą najgłębszą potrzebą i nigdy nas nie zadowolni najlepiej nam znane, najwyżej ukształtowane i kulturalnie najwyżej stojące społeczeństwo obce — dlatego właśnie, że obce. Boć są ludzie, którzy ćwierć wieku spędzili w Anglii, przesiąkli tą wysoką kuturą i cywilizacyą do szpiku kości, przyzwyczaili się do pełnego używania tego wszystkiego, co ona daje, pożerani tęsknotą wracają do naszych błotnistych i brudnych miasteczek, do naszych zacofanych instytucyj, do ciężkich warunków naszego życia codziennego — bo to swoje, a tamto obce.

Ale są jednak bardzo konkretne powody, które zmuszają nas do wyjazdu za granicę — i szczerze wyznam, że dla mnie one są główną jeśli nie jedyną pobudką. Nasze warunki polityczne wymagają tyle pracy, że niepodobna się od niej usuwać; a jest to praca przeważnie ciężka, „czarna robota"; mało albo wcale nie ma miejsca dla tych którzy pragną rozszerzenia swej duszy i widnokręgów, którzy pragną szerszego pola dla rozwoju swych indywidualnych

zdolności i aspiracyj. Robota czeka, i kto na nią patrzy, jeśli ma polskie serce, nie może nie brać w niej udziału. Ale w ten wir pracy nie możemy wiecznie wprzęgać ludzi niezupełnych — młodych, którzy nie zdążyli się wykształcić. Jeśli chcemy pracy naszej zapewnić przyszłość, musimy do niej wprządz jednostki normalnie rozwinięte, które poświęciły część swego życia na to, ażeby wzbogacić się duchowo — brać, a nie dawać tylko; które zdobyły szerszą wiedzę i wykształcenie, przez naukę książkową i — co ważniejsza — poglądową, rozszerzyli widnokręgi swej myśli i aspiracyj.

Do celowej pracy w tym kierunku ja w kraju nie byłbym zdolny; tam trzeba już się brać do pracy — już zajmować stanowisko. Do zdobycia tych przymiotów najlepiej nadaje się stanowczo Anglia. Przewidywałem to, kiedym się tu wybierał, sprawdzam to stopniowo, kiedy tu zacząłem mieszkać. To co tu widzę i czego doświadczam, już po tak krótkim pobycie przechodzi wszelkie oczekiwania właśnie w tym kierunku, jakiego szukałem, w zakresie tego, czego nam potrzeba: tu mamy warunki pracy naukowej znakomite, pod pewnemi względami jedyne w świecie; tu mamy społeczeństwo do najwyższego stopnia dostępne, wśród którego niepodobieństwo jest żyć, nie stając się po trochu jego członkiem; w dodatku jakie społeczeństwo! najstarsze pod względem doświadczenia życia publicznego, społeczeństwo z wspaniałemi tradycyami historycznemi, stojące na najwyższym szczeblu dzisiejszej kultury. Już dziś po pierwszych spojrzeniach, po pierwszych doświadczeniach, mogę z całą szczerością i świadomością gorąco namawiać kolegów chcących wyjechać za granicę, aby przyjeżdżall do Londynu. Szczegółowemu rozpatrzeniu warunków, w jakich tu żyć można, środków zdobywania wiedzy i tego, czego się tu w najszerszym zakresie nauczyć możemy, poświęcić zamierzam moje listy. Oczywiście w miarę, jak będę wchodził w społeczeństwo, poznawał warunki itp. coraz więcej będą miał do powiedzenia. A rozpocząłem moje listy tak wcześnie, dlatego, bo już mogę rozpocząć od rzeczy ważnych, które, czy wcześniej, czy później, zawsze pragnąłbym wam zakomunikować.

J. L-ski.

Bern, w marcu.

Zaledwie dwa miesiące upłynęło od pamiętnych dni zjazdowych w Zurychu, podczas których tyle się mówiło o potrzebie poprawy stosunków koleżeńskich, o konieczności łagodzenie antagonizmów przekonaniowych, o dążeniu do wynajdywania punktów stycznych pomiędzy obydwoma odłamami młodzieży polskiej. Ży-

czenia te znalazły swój wyraz w uchwale wiecu z dnia 27 grudnia r. z., na którym jednomyślnie przyjęto wniosek o zakładaniu w poszczególnych koloniach „klubów“ nieposiadających żadnej barwy przekonaniowej, natomiast jednoczących w swem łonie całą w danym mieście zgromadzoną młodzież polską. Niestety, mimo że tak świeżo mamy w pamięci ów pojednawczy i zdawało się całkiem szczery i serdecznością nacechowany nastrój, z jakim opuszczaliśmy to niezwykle liczne, bo około 300 osób liczące zgromadzenie wiecowe — to już dziś musimy zanotować fakt jaskrawy, który w tutejszej kolonii obrócił w niwecz wszelkie nadzieje, by kiedykolwiek nasze stosunki koleżeńskie mogły się poprawić. Na razie wstrzymujemy się od uogólniania tego faktu i nie chcemy bynajmniej podawać w wątpliwość szczerości, z jaką mówcy wiecowi, zwolennicy pojednania „Zjednoczenia“ i „Związku“, rzucając myśl tworzenia „klubów“, pragnęli uczynić je mostem zgody dla przyszłych stosunków koleżeńskich. Sądzimy jednak, że jeżeli w naszej kolonii, gdzie już od lat kilku taki bezpartyjny klub istniał pod nazwą „Polsko-Litewsko-Ukraińskiej Czytelni“ i jedynie od dobrej woli kolegów i koleżanek zależał dalszy modus viveudi — stosunki mimo to, nietylko że się nie poprawiły, lecz przeciwnie znacznie się zmieniły na gorsze — to jakież trudności nastręczą się tam, gdzie istnieją podwójne instytucye koleżeńskie: „związkowe“ i „zjednoczeniowe“.

O „Polsko-Litewsko-Ukraińskiej Czytelni“ w Bernie pisano już niejednokrotnie w gazetach, mówiono nawet dosyć wiele na zjeździe, stawiając ją poniekąd innym koloniom za wzór do naśladowania. Za czas ostatnich lat dziesięciu istniało w Bernie wiele stowarzyszeń, dokładnie ich cyfry podać wszelako niepodobna, gdyż akta, niedbale prowadzone, nie dostarczają nam w tym względzie żadnego materyału historycznego, to jednak jest faktem, że istnieje tu już cała kolekcya różnemi czasy sprawianych pieczątek, a świeżo zbiór ten powiększył się jeszcze o jedną, a mianowicie pieczątką „Polsko-Litewsku-Ukraińskiej Czytelni“, która przed kilku dniami zakończyła swój niespełna czteroletni żywot i przeszła do historyi. A stała się to bynajmniej nie w skutek jakichś trudności natury materyalnej, jak to najczęściej w takich razach bywa, lecz wskutek czynników czysto politycznych, w skutek niezadowolenia, jakie w tutejszym odłamie „postępowej“ młodzieży, mieniącej się polską, wywoływał 1-szy punkt statutów Czytelni.

Punkt ten brzmiał jak następuje: „Czytelnia toleruje wszystkie przekonania, z wyjątkiem tych, które się sprzeciwiają idei niepodległości Polski. Członkiem Czytelni może być każdy Polak, Litwin i Rusin mieszkający w Bernie“. Krótko i węzłowato: Czytelnia została założona dla swoich, a 1-szy punkt statutów zamyka do niej wstęp jedynie cudzoziemcom, a w pierwszym rzędzie Moskalom (i moskiewskim żydom), którzy nawet i wtedy, gdy się pozornie godzą na niepodległość Polski, to zawsze rozumieją ją na swoj sposób. Wobec wyraźnie zarysowujących się w ostatnich czasach prądów narodowościowych na Litwie i Rusi, organizatorowie Czytelni rozmyślnie dali jej nazwę „Polsko-Litewsko-Ukraińskiej“, aby tem samem zadokumentować braterstwo i wspólność dążeń tych trzech uciśnionych narodowości. Przy zakładaniu Czytelni byli obecni oprócz Polaków także Litwini i Rusini i zgodnie z ich właśnie życzeniem taka, a nie inna nazwa została przyjętą. Kwestya „niepodległości Polski“ nie budziła wtedy u osób, biorących udział w zakładanin Czytelni, żadnej wątpliwości. „Niepodległość“ rozumiano tylko jedną: niepodległość polityczną. Tymczasem dziś się przekonywujemy, że „niepodległość“ może być także innego gatunku, a mianowicie niepodległość „narodowościowa“, a skutkiem tego dwojakiego pojmowania rzeczy, w ciągu ostatniego półrocza kilkakrotnie zaatakowano ów 1-szy punkt statutów Czytelni, który dla „pewnej grupy ludzi“ (jak sami się nazywają) stał się solą w oku, więc też do jego zmiany postanowiła dążyć wytrwale.

Dla charakterystyki berneńskich stosunków wypada nadmienić, że na 637 cudzoziemców, odbywających studya w tutejszym uniwersytecie, jest z górą 500 Rosyan, a w tem przeszło 90 prc. żydów zgrupowanych przeważnie około wrogo dla Polski usposobionego „Bundu“. Kolonia polska łącznie z Litwinami liczy około 30—35 osób, liczby Rusinów dokładnie określić niepodobna, wynosiła ona do niedawna 5—6 osób, lecz w ostatnich czasach, skoro się wyłoniła „kwestya rusińska“ i nastręczyła się nowa sposobność zwalczania Polaków, wielu żydów poczęło się zaliczać do narodowości rusińskiej.

Przed rokiem tedy mieliśmy w Czytelnie naszej rozłam, wywołany sprawą utrakwizacyi uniwersysetu lwowskiego. Wystąpili wtedy z Czytelni Rusini w liczbie trzech osób, pociągając za sobą wszystkich „związkowców“, ponieważ rezultat głosowania nad tą sprawą przechylił wówczas szalę na stronę „zjednczeniowców“ resp. członków „Koła polskiego“. To ostatnie pomimo że liczba człon-

ków Czytelni po rozłamie zmalała do 12 osób, nie dopuściło do jej rozwiązania i nie pożałowało trudów, aby przetrwała przesilenie finansowe, które przecież prędzej czy później minąć musiało. Przewidywania „Koła“ sprawdziły się. „Związkowcy“, nie zdoławszy utworzyć oddzielnej czytelni, przekonali się dowodnie, że wycofaniem się z instytucyi, popełnili błąd taktyczny i postanowili zapisać się do niej na nowo, a gdy im to w zupełności ułatwiono, ujęli nawet ster Czytelni w swoje ręce. Od tej pory rozpoczęła się w łonie Czytelni formalna kampania za zmianą 1-ego punktu statutów. Jedni pragnęli koniecznie widzieć w Czytelni wszystkich, władających językiem polskim i pragnących czytać polskie gazety, bez względu na narodowość, drudzy niezadowoleni byli, że wśród narodowości, mogą być reprezentowane w Czytelni, nie wymienieni są żydzi, innym wreszcie zawadzała sama nazwa; „Polsko-Litewsko-Ukraińska Czytelnia“, Ukraińcy bowiem z Czytelni wystąpili, a pewien Litwin w swojem i swoich przyjaciół imieniu zaprotestował przeciwko nazywaniu jakichkolwiek bądź instytucyj „polsko-litewskiemi“, ponieważ nazwa taka, jego zdaniem, sprzeciwia się dążeniom pewnego odłamu młodzieży litewskiej, skierowanym do wyemancypowania się z pod przewagi kultury polskiej. Według niego Polacy względem Litwinów powinni zajmować takie tylko stanowisko, jakie zajmują względem Łotyszów, Finlandczyków, Gruzinów i innych ludów dążących do odzyskania samodzielności. Ponieważ nie udało mu się przeprowadzić w tym duchu odpowiedniej zmiany w statutach, chociaż miał po swej stronie wielu „związkowców“, więc uznał za właściwe wystąpić z Czytelni.

Jednocześnie prawie z tym faktem wynikła na gruncie berneńskim nowa sprawa. Pewien członek P. P, S. uważał za stosowne wobec tutejszej kolonii rosyjskiej wygłosić po rosyjsku odczyt o zadaniach polskiej partyi socyalistycznej, w którym kładł szczególny nacisk na konieczność hasła niepodległości Polski w programie P. P. S. Na odczycie tym znalazł się także jeden ze zwolenników partyi S. D., przytem członek polsko-litewsko-ukraińskiej czytelni i wobec żydowsko-rosyjskiego audytoryum, w sposób ubliżająsy godności Polaka, za pomocą tendencyjnie przekręcanych lub naciąganych faktów historycznych, zwalczał energicznie prelegenta, starając się przekonać Moskali o bezcelowości haseł, skierowanych do oderwania Polski od Rosyi w programie stronnictwa rewolucyjnego· Kolonia rosyjska wyraziła mu też zu to gorące uznanie długo niemilknącym demonstracyjnym oklaskiem. Jakkolwiek „postępowcy“

nasi w sympatyach swoich do Moskali prześcigają nawet ugodowców z petersburskiego „Kraju“ i możemy dziś już śmiało mówić o istnieniu u nas dwojakiego rodzaju ugody: „konserwatywnej“ i „postępowej“ (odkąd pewien odłam młodzieży polskiej sobie jedynie przyznał monopol na postępowość, wyraz „postęp“ nabrał specyalnego znaczenia), to jednakże policzek wymierzony im przez rosyjską kolonię odczuli tak dotkliwie, że postanowili przedewszystkiem wyrzucić owego pana z P. L. U. Czytelni, a następnie przestać uczęszczać na bale rosyjkie. Uczęszczanie na bale stanowiło na tutejszym gruncie jeden z głównych punktów niezgody między członkami „Związku“ i „Zjednoczenia“, ponieważ członkowie „Koła polskiego“ żadnych z kolonią rosyjską stosunków nie utrzymują i gorąco, zwłaszcza przeciwko uczęszczaniu na bale rosyjskie, protestują. Burza zatem, jaka w przysłowiowej szklance wody z powodu całej tej sprawy w Bernie wynikła, była na razie moralnem zwycięstwem „Koła polskiego“. Na chwilę zdawało się, że nareszcie zeszliśmy się na jednym z zasadniczych punktów, który nas dotąd dzielił i wywoływał waśnie i niechęć wzajemną. Zdawało się, że hasła pojednawcze, nucone na wiecu w Zurychu, teraz właśnie znajdą podatny grunt i sprowadzą tyle niby pożądaną harmonię w stosunkach koleżeńskich. Było to jednak złudzenie! Wprawdzie pana N., który wobec moskiewskich żydów tak „bohatersko“ zwalczał dążenia Polaków i P. P. S. wykluczono z Czytelni, (do czego się zwłaszcza 1-szy punkt statutów bardzo przydał!) ale pokusie pójścia ponownie na najbliższy bal rosyjski oprzeć się nie zdołano. Trudno. Natura ciągnie wilka do lasu.

Niebawem zdarzyła się ponowna okazya do uderzenia całą siłą na ów nieszczęśliwy 1-szy punkt statutów Czytelni. „Koło polskie“, stwierdziwszy, że jego księgozbiór, liczący kilkaset tomów dzieł wartościowych i oddany w depozyt i do użytku P. L. U. Czytelni, znajduje się pod złą opieką, dokonana bowiem rewizya biblioteki wykazała straszne nieporządki, brak około 20 prc. książek, oraz brak sporządzonego niegdyś katalogu i wszelkiej kontroli nad wypożyczanemi książkami — postanowiło księgazbiór swój wycofać z Czytelni i nadal samo wziąć na siebie obowiązek dozoru nad tymże. Dało to niektórym jednostkom powód do posądzenia „Koła“ o to, że dybie na szkodę Czytelni, że pragnie ją rozerwać, ponieważ ich zdaniem, z chwilą wycofania biblioteki, Czytelnia straciłaby racyę bytu. Był to wszelako niezbyt zręczny manewr, zwrócony względem „Koła“, oczywiście celem zdyskredytowania go

przed tutejszą kolonią — został też jak należy w dyskusyi przez „kołowców“ odparty, natomiast „związkowcy“ przyciśnięci do muru, przyznali się otwarcie, że dążą wytrwale do zrobienia wyłomu w Czytelni nietylko przez zmianę jej nazwy wyłącznie na „polską“, ale także przez odpowiednią zmianę 1-go punktu statutów, któraby dozwoliła na wprowadzenie do polskiej czytelni Moskali i żydów bez względu na to, czy ci będą za, czy przeciw „niepodległości“, a więc nawet i tych, za wydaleniem których zaledwie przed dwoma tygodniami tak gorąco przemawiano. Wreszcie oświadczyli, że gdyby i tym razem nie udało im się przeprowadzić uchwały po swojej myśli, to żądania swe ponowią przy innej okazyi i stawiać je będą popóty, aż wreszcie stosunki miejscowe pozwolą im dopiąć upragnionego celu.

„Koło polskie“ broniąc wytrwale narodowego stanowiska w tej sprawie i tym razem do zmiany statutu nie dopuściło, pomimo bowiem, że było ono w mniejszości, wszelako, głosując solidarnie, sprawiło, że do prawomocności uchwały brakowało przepisanej ustawą liczby głosów. Gdy więc po trzynastogodzinnych przeszło debatach, „związkowcy“ przekonali się, że zamiar ich spełzł na niczem, chwycili się ostatniego, najradykalniejszego środka i postawili wniosek o zupełne rozwiązanie Czytelni. Wobec tego, iż w dyskusyi pokazało się, że po stronie „związkowców“ istnieje wyraźna zła wola, skierowana ku zniszczeniu pracy lat kilku i że na przyszłość, wobec takiego pomięszania pojęć, nie ma żadnych widoków dla prawidłowego i spokojnego rozwoju instytucyi koleżeńskiej, więc i pewna liczba człnnków „Koła“ oddała swoje głosy za rozwiązaniem. Uchwała zatem przeszła i Czytelnią Polsko-Litewsko-Ukraińska w Bernie z dniem 1. marca b. r. istnieć przestała. Wybrano komisyą, której poruczono zamknąć rachunki i dokonać podziału pism i książek pomiędzy obydwa Towarzystwa.

Czy na gruzach „starej“ (aż półczwarta roku liczącej) Czytelni powstanie nowa, na razie z powodu feryj wiosennych, nic pewnego nie wiadomo. Usiłowania w tym kierunku będą zapewne przez „związkowców“ poczynione, wątpliwem jest wszakże, czy ta „nowa“ Czytelnia lepiej od dawnej odpowiadać będzie potrzebom berneńskiej kolonii. Pomijając bowiem na razie wzgląd, że otwarty do niej zostanie wstęp dla żywiołów niechętnych, a nawet wprost wrogich dla sprawy polskiej, przez co moralny poziom Czytelni będzie znacznie obniżony, przewidywać także wypada zmniejszenie się jej siły materyalnej. Liczebnie nowa czytelnia powiększy się może, co

najwięcej, o kilku „ugodowców“ postępowych, oraz 2—3 moskiewskich żydów, natomiast nie wstąpią do niej członkowie „Koła polskiego“ (w liczbie 10 osób), ponieważ wobec postawionej w debacie przez „Kołowców“ alternatywy: „my albo Moskale“? — „Związkowcy“ aż nadto wyraźnie wypowiedzeli swoje sympatye.

A no, de gustibus non est disputandum! Ale najbliższa zapewne przyszłość wykaże nam jaskrawo skutki tej destrukcyjnej roboty społecznej, uprawianej przez pewien odłam naszej młodzieży z wytrwałością godną lepszej sprawy. *Mar.*

Darmstadt.

W tej korespondencyi nie mam zamiaru wchodzić bliżej w wewnętrzne stosunki naszej kolonii; poprzestanę na zaznaczeniu gwałtownego jej zmiejszania się, zajmę się zaś bliżej warunkemi ogólnymi i stosunkami, w których nam tu żyć przychodzi. Zacznę od rzeczy najważniejszej, tutejszej „wyższej szkoły technicznej“. Pomieszczenie jej stanowią, wielki i okazały gmach główny i kilka rozmiarami poważnych budynków po przeciwnej stronie ulicy, w których znajdują się instytuty fizyczny, elektrotechniczny i chemiczny z oddziałem elektrochemicznym. Sale wykładowe i rysunkowe urządzone są bardzo starannie, ale najwięcej pracy, kosztów i usiłowań zwrócono ku urządzeniu pracowni naukowych, fizycznych, chemicznych, elektrotechnicznych i mechanicznych. Światową swą sławę zawdzięcza Darmstadt swemu wydziałowi elektrotechnicznemu, z którym z politechnik niemieckich równać się może jedynie Karlsruhe. Lecz na innych także wydziałach, szczególnie na mechanicznym są między profesorami pierwszorzędne siły. Zeletę tutejszego sposobu nauczania stanowi utrzymywanie ciągłego i silnego związku z praktyką; cecha ta objawia się zwłaszcza w przesunięciu środka ciężkości ku ćwiczeniom konstrukcyjnym i pracom laboratoryjnym, oraz w tem, że rok pracy praktycznej postawiony jest jako warunek otrzymania dyplomu inżyniera elektrotechniki lub budowy maszyn. Przy porządnej i sumiennej gracy ma się tu wszelkie dane nabycia bardzo dobrego technicznego wykształcenia. Z pośród Polaków dość wielu odpowiedziało temu warunkowi i przekonało Niemców o fałszywości ich dawmniejszych o nas sądów pomyślnymi rezultatami prac i egzaminów. Jak wszędzie jednak, tak i u nas nie brak takich, którzy uważając pracę za „złe konieczne“, w innych kierunkach wyładowują swój temperament.

Otoczenie, w jakiem się nam tu obracać przychodzi, bardzo rożnorodne, gdyż oprócz studentów niemieckich jest tu znaczna

liczba (dwadzieścia kilka procent) „zagranicznych“, z tego obecnie 260 z państwa rosyjskiego, kilkudziesięciu z austryackiego, grupy Norwegczyków, żydów rumuńskich, Anglików i wielu innych nawet z krajów pozaeuropejskich. Liczba członków obu towarzystw polskich „Lechicyi“ i „Czytelni polskiej“ razem wziętych nie przenosi 50-ciu. Prawie wszyscy koledzy pochodzą z zaboru rosyjskiego, paru kolegów z dwu innych zaborów znajduje się w „Lechicyi“.

Wśród pozostałych „poddanych rosyjskich“ przeważną część stanowią żydzi, z którymi ogół studentów nie bez powodów niebardzo sympatyzuje, a widząc w spisie studentów jako miejsce ich pochodzenia podane n. p. Wilno, Kowno, Poniewież, Mińsk lub Berdyczów, nazywa ich Polakami i pod tą nazwą na nich „wymyśla“. W ten sposób zalety lub wady, zasługi lub winy ludzi, nie mających ni z języka, ni z poczucia, nic wspólnego z polskością, ogół nam przypisuje! Zaznaczyć tu jednak trzeba, że także członkowie jednego z polskich towarzystw do wprowadzenia tego zamięszania pojęć się przyczyniają przez utrzymywanie licznych stosunków z wyżej wspomnianym elementem — w języku moskiewskim.

Pierwszem naszem zadaniem jest wprawdzie praca wewnętrzna, lecz także o wyrobienie słusznej a dobrej opinii u obcych dbać musimy. Powinniśmy znaleźć środki, by zapobiedz chwaleniu nas za nie nasze dobre strony i ganieniu za wady i złe strony (n. p. arogancyę) — także nie nasze. Nie powinniśmy tego czynić tak, by to było nieprzyjaznem wystąpieniem przeciw tym, których niepotrzebnie z nami łączą, lecz jedynie postawieniem sprawy w świetle prawdy. Podnoszę tę sprawę, gdyż ona nie jest jedynie naszą miejscową, może o niej coś opowiedzieć i Karlsruhe, Heidelberg, Hanower, Berlin i inne kolonie studenckie. Radę przecie znaleźć trzeba.

Od ogółu studentów niemieckich dzieli przeważną część nas niezbyt wielka znajomość języka, dobrze zaś językiem niemieckim władających rzeczywista przepaść między naszemi a ich wyobrażeniami, pojęciami i etyką. Przytoczę parę przykładów, więc naprzód dziwny zanik pewnych pojęć moralnych: dziwili się „najpoczciwsi Niemcy“, gdy się mówiło im o niemoralności zasady „siła przed prawem“. Od pojęć idealistów niemieckich z końca XVIII. i początka XIX. wieku zaszła tu ciekawa ewolucya, bo naprzód „naukowo stwierdzono“ panowanie na świecie tej zasady, potem głowa narodu, kanclerz żelaznej ręki, w polityce konsekwentnie ją przeprowadził, dziś wielu z „najpoczciwszych“ Prusaków robi zdziwioną minę, gdy się im mówi co innego i odpowiada „przecież siła jest

prawem"! Die Macht ist eben das Recht!... Lub też w przystępie przyjaznego nastroju daje Polakom radę, by się przecie stosowali tak jak Niemcy do „znanej i uznanej" zasady, „gdzie dobrze, tam ojczyzna" (ubi bene, ibi patria).

Przykładem równie ciekawych pojęć o godności narodowej i godności własnej jest przymusowe opodatkowanie wszystkich studentów, także zagranicznych więc i Polaków przez t. zw. „Ausschuss der Studierenden" na budowę kolumny Bismarka, pomimo głosów protestu wśród samych Niemców.

Za to muszę przyznać, że nie znam ani jednego objawu nietaktu ze strony profesorów.

Ciekawy kontrast między dawniejszym a dzisiejszym nastrojem obywateli Wielkiego księstwa heskiego objawia się także w przeniesieniu pomnika pułków heskich z czasów napoleońskich z wielkiego placu w mieście w zakątek parku, by nie kłuły w oczy generałów pruskich przy rewiach pamiątki bitwy, w których pułki te brały udział po stronie Napoleona, wspomnienia wypisane złotemi literami Jeny, Grudziądza, Aspern, Wagramu, Smoleńska, Berezyny, Lipska i Strasburga.

Wobec silnego napływu „zagranicznych" i niechęci do nich zaczęło się już pewne ograniczanie ich przy rozdawaniu miejsc w salach, a także podwyższono im wpis (minimum wynosi obecnie 100 M,). Kto wie, czy w niedalekiej przyszłości nie utrudnią przyjmowania. Tymczasem kolonia polska już i bez tego szybko się zmniejsza. *A. B.*

Nowy Sącz.

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie!

W całej pełni słowa te można odnieść do naszej młodzieży polskiej gimnazyalnej, liczącej z górą przeszło 500 młodzieńców. Szaruga filisterskiego codziennego życia rozpostarła wszechwładną moc nad drzemiącem zbiorowiskiem pionków automatycznych. Zastój tem dziwniejszy, że nie brak bodźców i przykładów ze strony Rusinów, pragnących usilnie wytworzyć tu jedną z twierdz dla swej propagandy moskalofilskiej lub ukraińskiej. Rusini, których w gimnazyum mamy około 60 — jak i starzy prą naprzód i pracują. Podczas kiedy my, młodzież polska, filary przyszłego obywatelskiego życia, drzemiemy w nieczynności i apatyi. Jest u nas ruch i to gorączkowy nawet, ale niestety w niepożądanym kierunku. Pracują owelasi na rowerach, pracuje młódź przy hodowli gołębi, zamęcza

się w pogoni za pierwszą lepszą sukienką, celuje wzniosłym dowcipem, godnym knajp ostatnich i wznosi swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty na wysokość miejsc takich, z których jad i zepsucie moralne wyciągają swe ramiona zabójcze.

Nie brak chęci i czynów nawet, by podnieść się z tego bagniska marnoty lub zepsucia, lecz wszystko dotychczas rozbijało się o apatyę ogółu. Brak wybitniejszych jednostek, silnych charakterem — co jest prostem następstwem obecnego anormalnego stanu — nadto brak serdecznej nici wiążącej młodzież ze zwierzchnikami, to główne powody tego stanu, acz nie brak wielu innych, których omówienie na później sobie zostawiam. Na razie poprzestaję na ogólnikowym zarysie. Kończę życzeniem, by młodzież nasza ocknęła się z drzemki ducha i zabrała do pracy nad sobą, do pracy dla dobra narodu. Utinam... *J. S. U.*

Śrem.

Po stosunkowo dość długim pozornym spokoju w naszem miasteczku znowu słychać ze wszech stron skargi tutejszej młodzieży na postępowanie dyrektora i profesorów, jak również na niektóre jednostki z obywatelstwa. Nie chciałem pierwotnie zabierać głosu w tej dość drażliwej kwestyi, bo sądziłem, że obchodzenie się zaciekłych pedagogów niemieckich z polskimi uczniami przetrawi się, gdy przekonają się kulturtregerzy o bezcelowości swego brutalizmu. Tymczasem sprawa wzięła nadspodziewanie inny obrót.

Pan dyrektor Ziaja dowiedziawszy się o koresnondencyi, umieszczonej w „Tece“, poruszał wszystkie sprężyny, by się dowiedzieć, kto jest autorem owej korespondencyi; posądzając zaś głównie dwóch uczniów Polaków, wykombinował sobie w swej arcymądrej głowie, że musi tutaj istnieć tajne kółko, jeżeli owi posądzeni mają styczność z „Teką“, którą on nazwał publicznie w klasie „pismem bandytów“ (Räuberschrift). Do owego posądzenia doszedł w następujący sposób. Jednemu z uczniów Polaków oznajmił, że w „Tece“ wymieniono kilka nazwisk szlacheckich, piętnując ich właścicieli, jako paniczów, których ideałem jest konik, pies i strzelba. Za pomocą tego kłamstwa p. Ziaja cel swój osiągnął. Zainterpelowany, wierząc dyrektorowi, wymienił dwóch kolegów, posądzając ich o autorstwo korespondencyi. To dyrektorowi dało powód do traktowania owych dwóch rzekomych winowajców w najhaniebniejszy

sposób i nalegania na nich ciągle, by gimnazyum opuścili, bo tak czy tak do niczego nie doprowadzą.

Dalej p. Ziaja zaczął im grozić prokuratorem, posądził ich wreszcie o kierownictwo owej „bandy". Rozumując, że do owej „bandy" musi więcej należeć, jak dwóch uczniów, począł i innych podejrzywać i czynić im wymówki, brał na stronę młodszych, groził i wymyślał im, aż skończyło się na tem, że w krótkim czasie trzech uczniów Polaków gimnazyum opuścić musiało. Na pożegnanie wyraził się jeszcze do jednego z odchodzących, że dobrze robi, opuszczając szkołę, bo jest bardzo niebezpiecznym Polakiem.

Wszystko to znosili uczniowie spokojnie; myślano, że po pozbyciu się trzech wrogów niemieckiej ojczyzny p. Ziaja się utemperuje i strachy przed wielkopolską agitacyą go opuszczą. Lecz okazało się, że to go nie zadowolniło. Nie dziwić mu się, jeżeli sobie postawił tak wielkie zadanie, jak wyrugowanie żywiołów naordowo uświadomionych, a hodowanie jednostek zwyrodniałych, baz wszelkich aspiracyj narodowych. To też na początku nowego półrocza w swej mowie na sali ostrzegał młodzież przed owem kółkiem; zaznaczył także, że będzie podejrzanych uczniów zwoływał do siebie. P. Ziaja oczywiście zmusza młodzież do czytania niemieckich książek z biblioteki szkolnej, napełnionych antypolskim i antykatolickim jadem, żeby broń Boże uczniowie nie znaleźli czasu do zajmowania się literaturą polską. Przytem posuwa się p. Ziaja tak daleko, że na przełożonego pewnej stancyi nalegał, n. p. by uczniowie o 10-ej godzinie szli spać, bo lekcye szkolne do tego czasu mogą zupełnie ukończyć. (Trudno przecież przypuszczać, by mu na zdrowiu polskiej młodzieży tak bardzo zależało). W jednym zaś przypadką zagroził uczniowi, że go bez wszystkiego wydali, gdy się dowie, że się zajmuje polską literaturą. Wreszcie w ostatnim czasie chodził z kłasy do klasy i ostrzegał uczniów, żeby nie zajmowali się „innemi" rzeczami, jako też, żeby się nie wdawali z ową „bandą", którą on w krótkim czasie wypędzi. Wymieniał przytem wobec wszystkich uczniów posądzonych, po nazwisku. Nie potrzeba dodawać, że po podobnych popisach i inni profesorowie na każdym kroku uczniom posądzonym wytykają zajmowanie się „innemi rzeczami".

Pomiędzy profesorami odznaczają się głównie pp. Schlecht i Fechner. W niższych klasach uprawia pierwszy harce poli-

tyczne, wymyślając Polakom, że czytują pisma „z czerwoną okładką“ jak „Praka“ (Praca) i t. p. Ostatni zaś w przystępie pangiermańskiej pasyi odezwał się w ten sposób: „Czekajcie, psy przeklęte! Wdzięczność powinniście odczuwać dla państwa pruskiego, które wam tyle dobrego czyni“. Podobne postępowanie doprowadziło młodzież do najwyższego rozgoryczenia. Dosyć wielu jest zdecydowanych gimnazyum opuścić, a wtenczas, po ubytku starszych młodzi koledzy, zagrożeni przez system germanizacyjny, nie doznając znikąd pomocy ni wsparcia łatwo uledz mogliby demoralizującym wpływom pp. Ziajów, Schlechtów i Fechnerów. Dla tego jest obowiązkiem starszych: wytrwać na stanowisku.

Stosunki w gimnazyum śremskiem świetnie illustruuje fakt, że gdy dawniej zawsze około czterech, a czasami i więcej, abituryentów Polaków gimnazyum co rok opuszczało, w tym roku nie będzie żadnego maturzysty. Rozgoryczenie wśród młodzierzy jest tem większe, że czuje się ona wobec ohydnego postępowania władzy poniekąd bezsilną. Stoi ogołocona wśród nawału bezprawi bez pomocy rodziców, bez pomocy obywatelstwa. Nasi wielcy politycy siedząc za stolikiem redaktorskim, mądrych udzielają młodzieży gimnazyalnej rad, by zerwała przyjazne stosunki, łączące ją ze starszą młodzieżą, by raczej powierzyła się opiece trzeźwego obywatelstwa. A gdzież to obywatelstwo? A gdzież opieka? gdzie choćby tylko dobre chęci?

Żal serce ściska, gdy się patrzy na niemoc, bezsilność młodzieży, rwącej się do pracy, do oświaty narodowej, na niemoc — woboc siły brutalnych kulturträgerów, nie przebierających w środkach. A na to wszystko obojętnem okiem patrzy obywatelstwo, nie podaje pomocnej dłoni ojcowskiej, raczej tonie w oportunizmie i apatyi.

Także na stancyach nie dbają przełożeni wcale o to, by młodzież uczyła się po polsku, częstokroć występują wprost przeciwko temu, by sobie dyrektora zjednać. Pewna pani n. p. jest tego zdania, że niemieckiego języka w pierwszym rzędzie uczyć się należy; p. dyrektor proteguje ją oczywiście i chciałby wszystkich uczniów jej opiece powierzyć, gdy tymczasem inne stancye zwalcza systematycznie.

Na koniec zwracam się jeszcze do tej części młodzieży, której autor wzmiankowanej korespondencyi zarzucił wyłączne zajmowanie się rzeczami błahemi. Stosuje się to naturalnie

tylko do tych, którzy na ten zarzut zasłużyli. W każdym razie autor miał jedynie na celu zwrócić ich z drogi źle obranej, a nigdy nie chciał powiększyć tej przepaści, jaka odgranicza ją od młodzieży innych warstw. Przyznaję, że do owej niesolidarności koleżeńskiej przyczyniają się obustronne nietaktowne postępowania i przesądy niemądre. Wobec takiego jarzma, jakie władza młodzieży narzuca, winny zniknąć wszelkie uprzedzenia tak jednej strony jak i drugiej; nie powinno się zapominać, że wszystkich łączy jeden los, jedna dola i niedola.

Wrocław.

Na początku półrocza zimowego ukazała się w poznańskich dziennikach odezwa Towarzystwa antihazardowego w Poznaniu, wzywająca młodzież do zaniechania gry hazardowej. W grudniu znowu czytaliśmy w łamach gazet odezwę przeciw grze hazardowej i to pochodzącą z kół berlińskiej młodzieży uniwersyteckiej. Na myśl w odezwie wyrażoną każdy zgodzić się powinien.

Właściwie nietylko grę hazardową w ścisłem znaczeniu tego słowa potępić należy, lecz tak samo i grę na pozór „niewinną", z jednej strony bowiem trudno pociągnąć granicę między tem, co dla syna skromnego domu obywatelskiego jest hazardem, a co nim nie jest, z drugiej zaś wielogodzinne, do późnego rana przeciągające się „bębnienie" w karty, musi przyczynić się do wyjałowienia umysłu i sfilistrzenia. W każdym razie uważać należy występowanie młodzieży narodowej przeciwko uprawianiu gry w karty w lokalach publicznych za objaw dodatni.

Każdy uniwersytet, na którym studyuje młodzież polska, ma swe kółko karciarskie. Wrocław posiada od dawnego czasu małe ekskluzywne kółeczko t. zw. „magnatów", choć to koledzy średnich fortun. Oczywiście koledzy, przynależący do tego bractwa, postanowili dłuższy czas spędzić na uniwersytecie. Obecnie wykształca się drugie kółko, ale to już z zupełnie młodych kolegów. Pozatem istnieją liczniejsze rzesze karciarzy, tylko dorywczo przy grze się spotykających, lecz nie tworzą oni ściśle zorganizowanych bractw. Kółko magnatów istnieje z dawnych lat, znalazło spadkobierców swych tradycyj w młodem kółku, mimo to nie widzę, żeby karciarstwo w Wrocławiu obejmowało coraz szersze koła. Dzisiaj wobec zmniejszonych szeregów młodzieży o szerszym widnokręgu umysłowym na uniwersytetach, zwraca się baczniejszą uwagę na duchem niższe sfery, czego dawniej nie czyniliśmy tak pilnie, widząc przed sobą większą liczbę kolegów, którzy odziedziczą po nas ideę polskości

i pracy narodowej. Obecnie szeregi te przerzedzają się, a przyczyną tego to procesy i śledztwa ostatnie.

Niestety, lecz wyznać to trzeba, w Wrocławiu między starszymi a młodszymi kolegami niema, przynajmniej dotychczas, serdecznych, zażyłych stosunków. U młodszych nosimy miano „purytanów„, „wstrętnej młodej Polski“ i t. d. Oczywiście przyczyny tych dyssonansów, zakradających się do życia tutejszej studenteryi, szukać należy w najzwyklejszem nieporozumieniu między młodszymi a starszymi. Gdyby się tego nieporozumienia nie usunęło, byłoby to w każdym razie przeważnie wina starszych kolegów, którzy istotnie grzeszą pewnego rodzaju ekskluzywnością, obcując zbyt mało z młodszymi kolegami. Sposobności ku temu zbraknąć nie powinno, i przy dobrej woli też nie zbraknie.

Kolegom zaś, którzy uważają tak zwane „purytanizmy“, „katonizmy“ i tym podobne „izmy“ za rzecz „wstrętną“, pozwalam sobie zwrócić uwagę na to, że w walce, jaką toczymy z Niemcami zwycięży ten żywioł, który okaże jak najwięcej tężyzny moralnej i siły materyalnej.

Wiele teraz piszą o politykomanii wśród młodzieży. Zabór druski nigdy zbytnio się nie rozpolitykował, chociażby dlatego, że nie posiada socyalistów i Rusinów — a stanowisko polityczne wobec młodzieży niemieckiej jest bardzo jasnem. Dyskusye polityczne ograniczamy do możliwie szczupłych rozmiarów, wprawadzamy natomiast pogadanki literackie lub też zawodowe. Potrzeba takich gawęd wynika już z tego, że poziom umysłowy wśród młodzieży zaboru pruskiego, jak to już niejednokrotnie na łamach „Teki“ skonstatowano, nie jest zadawalniający. Najpierw trzeba poziom umysłowy podnieść, a na tej podstawie dopiero można oprzeć wykształcenie polityczne.

Z pism i książek.

Pisma hektografowane. „*Na obczyźnie*“ (Moskwa) „*Wolność*“ (Petersburg). Przepatrując zeszyty nielegalnych pism, wydawanych przez uczącą się młodzież w zaborze rosyjskim, uderza nas zawsze ten olbrzymi nokład pracy, niezbędny do wydania jednego choćby numeru takiego pisma. Głęboką czcią przejęci jesteśmy dla tej

gromadki młodych, rwących się do słońca orląt, stanowiących nieliczny zwykle komitet redakcyjny, którzy, mimo czujności władz policyjnych i szkolnych, mimo nadmiaru obowiązkowej pracy bieżącej, mimo obojętności i ospałości szerszego ogółu kolegów, znajdują czas na skomplikowane i różnorodne zajęcie redaktorów i wydawców. Nierzadko w jednej osobie mieścić się musi literat, a więc poeta, krytyk i społecznik, tudzież kaligraf, rysownik i korektor, ba, nawet często introligator.

Leży oto przed nami pierwszy numer „Na obczyźnie", wydawnictwa młodzieży polskiej, kształcącej się w gimnazyach w Rosyi. Gorące słowa padają z każdego artykułu. „Podajemy oto, woła redakcya do swych tewarzyszy, te kilka stron białego papieru ku wzmożeniu męstwa waszego, chcemy tam umieścić wszystko, co nas boli i nam dolega; oddaleni od ojczyzny, chcemy wylać całą głębię naszego uczucia, naszej tęsknoty, naszej skargi, abyśmy spleceni bratnią miłością ojczyźnie naszej wrócili duszę tak polską i tak czystą, jak płacz rosy wiosennej, a w razie potrzeby chętnie ponieśli jej życie swe w ofierze, którego jest szafarką".

Wśród artykułów należy wyróżnić „Na granicy dwóch stuleci", w którym autor przebiega myślą dzieje i hasła ubiegłego stulecia, zatrzymując się dłużej nad martyrologią narodu polskiego. „Zostawiam wam, mówi zamierającym głosem starzec, wiek XIX., nigdy nie przebrzmiałe ideały wiary, nadziei i miłości, które siałem w duszach waszych, które rosły i rozwijały się więcej, jak do pierwszej połowy mego istnienia, a jeżeli więdły przez drugą, to już nie moja w tem wina, bo dyabeł powiał suchym wiatrem, który nosi nazwę „siła przed prawem".

W innym artykule: „O powieściach Kaczkowskiego" autor przeprowadza bardzo trafną paralelę między społeczeństwem naszem z wieku XVIII., którego cechy ujemne aż do potworności tak doskonale są odtworzone przez Kaczkowskiego, a społeczeństwem doby obecnej, zupełnie odrodzonem moralnie i umysłowo. Niestety, typ „wesołych idyotów herbowych" z epoki saskiej niezupełnie wyginął. Ten wesoły hrabia Józef Potocki, przegrywający miliony przy zielonym stoliku — to współczesny bohater Nieczui. Kilka innych artykułów oraz licznie rozsiane drobiazgi poetyckie dopełniają bogatą treść numeru. Z całego serca życzymy młodym braciom powodzenia w tej pracy wymagającej poświęcenia się, a szczególniej wytrwałości.

Zupełnie inny charakter nosi pismo „Wolność“, wydawane w Petersburgu przez studentów. Mamy przed sobą jego pierwszy numer. Jako program stawia sobie pismo: wspólne wytwarzanie ideałów moralnych i praktycznych, ułatwienie porozumienia się w kwestyach ogólnych, zasadniczych, dopomaganie (w) wytworzeniu się i ukształtowaniu światopoglądu.

Pismo nie akcentuje więc swego odrębnego, narodowego charakteru, stawia program ogólnikowy t. zw. „postępowy“. Wprawdzie w artykule „O samokształceniu“ widzimy pewne przebłyski świadomości, że program nie może byń szablonowym, że „w naszych specyalnych warunkach społecznych i politycznych“ powinien on „nabrać specyalnego zabarwienia. Cele i środki samokształcenia, czytamy dalej, powinny choćby ze względu na prostą celowość — być wyrazem najgłębszej treści polskiego ducha“. Ale w dalszym ciągu, w praktycznem rozwinięciu zasad samokształcenia, „Wolność“ zapomina o wygłoszonem poprzednio zdaniu, stawia program zupełnie ogólnikowy, pod którym równie dobrze mógłby się podpisać „postępowy“ Niemiec jak Rosyanin, a pracę nad polską historyą i literaturą wyrzuca nawet po za sekcye samokształcenia. Taki program nie będzie oczywiście „wyrazem najgłębszej treści polskiego ducha“, bo z duchem tym nie będzie miał nic wspólnego nie zadając sobie trudu nawet go rozpoznać. „Wolność“, niestety, nie wniesie nic nowego do życia i świadomości młodzieży. Będzie ona prawdopodobnie rozwijała szablonowe zasady aż nadto znanego programu samokształcenia, który w ostatecznej konkluzyi ma doprowadzić do marksizmu w pierwotnem czy też poprawnem wydaniu. „Programy“ te dawno wśród młodzieży zbankrutowały, gdyż zabijają samodzielność umysłową, uczą myśleć formułami, nie pozwalają spostrzegać realnych zjawisk społecznych i politycznych. Że spóźnione ich echa spotykamy jeszcze wśród pewnego odłamu młodzieży petersburskiej, dowodzi to jedynie jak mało jest ona „postępową“, pomimo postępowej firmy. Niemile rażą w „Wolności“ fatalne rusycyzmy, które się po kilkakroć powtarzają. Takich wyrażeń, jak „nie zakrywamy oczu“, „odkrywamy szpalty pisma“, należy stanowczo unikać w druku, by nie utrwalać ich w dostatecznie zanieczyszczonej mowie młodzieży wystawionej na tak silne wpływy rusyfikacyjne.

Dobrze natomiast zapowiada się rospoczęty w „Wolności“ utwór belletrystyczny „1835 roku“. Autorka podpisana kryptonimem M. K...cka zdradza swym talentem właściwe nazwisko.

„Kraj“ o młodzieży. Kierunek wszechpolski i młodzież doń się przyznająca są od kilku miesięcy stałym przedmiotem gorącego zajęcia petersburskich ugodowców.

Po forsownej reklamie dla paszkwilu p. Scriptora,, po należytej odprawie danej z kilku stron temu niepowołanemu moralizatorowi młodego pokolenia, chwycono się w „opiekuńczych“ sferach nowej metody.

Scriptor w wojowniczym zapale przerażony wzrostem naszych szeregów, siły ich niejednokrotnie przecenił, znając nas jedynie z pism naszych i bałamutnych sprawozdań prasy codziennej.

Stąd owo naiwne ocenianie sił danego kierunku według ilości głosów padłych za wiecową uchwałą, naiwność uderzająca każdego, ktokolwiek zetknął się osobiście z młodzieżą. Bo nic bardziej bezowocnego jak wyszukiwanie stałych cyfr dla przekonań młodzieży, która właśnie tem się odznacza, że przekonania wyrabia, że je modyfikuje i bardzo często zmienia. Jeżeli gdzie, to w tym wypadku statystyka zawodzi. zwłaszcza, że często osobiste sympatye lub antypatye zastępują przekonania.

Nie uniknął tego kardynalnego błędu i p. Obserwator, autor obszernej korespondencyi w 6. numerze „Kraju“ o akademickiej młodzieży w Galicyi. Przeciwstawił jednak metodzie przesady w ocenie naszych wpływów, tak widocznej u Scriptora — sposób nowy: wyszukiwanie wszelkiego rodzaju podjazdów, kopiących dołki pod młodzieżą „wszechpolską“. Sposób to nowy jedynie w walce z młodymi, w napaściach na stronnictwo N. D. wyzyskiwany „con amore“.

Jest jeszcze drugi rys znamienny w artykule Obserwatora: obrona książki Scriptora przed czynionymi jej zarzutami i pasya tropienia politykomanii w życiu lwowskiej młodzieży. Jak na tę kwestyę się zapatrujemy, czytelnicy już wiedzą — tu polemika byłaby zupełnie bezowocną. Że Obserwator korzystał jednak z krytyk książki o „Naszej młodzieży“ — świadczy widoczny postęp w ujmowaniu syraw młodzieży: sięgania po informacye do niej samej.

Stąd pochodzi staranność w nagromadzeniu materyału, zwłaszcza o ile dotyczy lwowskiego gruntu, stosunki krakowskie przedstawiono bardzo pobieżnie; obecny wpływ Lutosławskiego na młodzież, jej udział w jego seminaryum zupełnie pominięty.

W oświetleniu tego materyału, w ogólnej tendencyi przebija natomiast mimo pozornej przedmiotowości, tak widoczna u Scriptora antypatya do młodzieży „wszechpolskiej“.

Scriptor przeciwstawia nam młodzież socyalistyczną i ku niej

swe zręcznie maskowane afekty kieruje, lwowski korespondent rzuca się na szyję świeżych ludowców, „około 20“ proletaryatczyków i „około 30“ chrześcijańsko-socyalnych, zaciera ręce, szumuje i otrzymawszy przeszło 100, wnioskuje z tryumfem: „dotychczasowy stan posiadania stronnictwa wszechpolskiego wśród młodzieży we Lwowie został za jednym zamachem poważnie podkopany!“ W porywie radości zapomina o błędach poprzednika Scriptora, więc dalej z zaciekłością ścisłego statystyka liczy znów na cyfry zwolenników danego programu wedle oderwanych uchwał walnych zgromadzeń, w charakterystyce naszego odłamu posługuje się znów fałszywą opinią przeciwników. Gdy na Walnem zgromadzeniu lwowskiej Czytelni akad. padło 78 głosów przeciw kandydatowi na prezesa z naszego obozu, gdy na tę liczbę składało się najwyżej „25“*) uświadomionych“ ludowców a resztę bezpodstawnej opozycyi stanowili „nieuświadomieni“ malkontenci z wewnętrznej litylko gospodarki — korespondent „Kraju“ donosi: „78 głosów padło przeciw, jako potępienie kierunku wszechpolskiego!“ (?) A więc 78 przeciwników politycznych! Tylu wiedzie Obserwator triumphas na twierdzę wszechpolską! Byłby to objaw pocieszną donkiszoteryi samozwańczego wodza, gdyby nie jaskrawa tendencyjność naciąganej statystyki, która nam z pewnością nie wytłómaczy, dlaczego w tym czasie, gdy „Kraj“ ten artykuł drukował, Akad. Koło Szkoły ludowej, owa urojona ostoja ludowców — dostała się „wszechpolakom“?

A oto drugi przykład tendencyjnego przedstawienia rzeczy. Gdy chodzi o program pracy wśród ludu w obozie demokratyczno-narodowym, ocenia go autor zupełnie fałszywie i to świadomie — słowami naszego przeciwnika: „Praca nad ludem, w rozumieniu N. D, jest to przedewszystkiem i wyłącznie, krótko mówiąc, budzenie ducha. My ten kierunek uważamy za błędny; lud nasz, w Galicyi, nie rozumie tego(?); należy opowiadać mu w pierwszym rzędzie o tem, co go bezpośrednio obchodzi, pouczać go o jego prawach i obowiązkach obywatelskich, mówić o Sejmie, o wyborach, o tem, jak powstają ustawy, jak je można zmienić, zaznajamiać go ze sprawami ekonomicznemi i t. d.*) To wszystko narodowi demokraci lekceważą(?)...

---

*) Zresztą chodzi tutaj nie o program pracy politycznej wśród ludu, ale o kierunek pracy oświatowej w T. S. L. I tutaj przyznajemy otwarcie, młodzież nar. dem. świadomie pomija kwestyę „wyborów“. Jeśli kol. ludowcy uważają to za błąd, a p. Obserwator lub Scriptor im potakuje — nie będziemy starali się ich przekonywać. *Red.*

Kto zna choć cośkolwiek świeżą co prawda, ale już widoczną pracę N. D. wśród ludu, kto zna powiat tarnobrzeski, gdzie ona ma największy wpływ na wsi — tego uderzy odrazu sprzeczność tej charakterystyki ze stanem istotnym. gdyż to właśnie, „co go (lud) przedewszystkiem obchodzi“, z naciskiem N. D. podkreśla.

Zarzut uświadamiania narodowego, owego „budzenia ducha“, brzmi dziwnie w ustach ludowca, zwłaszcza, gdy jego starsi towarzysze partyjni już dawno przeszli nad nim do porządku, wstępując pod tym względem w ostatnich czasach w nasze ślady. Że podjął go skwapliwie „Kraj“ — to znów nie dziwne.

W charakterystyce artykułu Obserwatora ograniczamy się do tych dwóch przykładów jaskrawej tendencyjności. Ona to zniewala nas zaliczyć tę korespondencyę do działu tworów scriptorowych, robionych na nieco odmienne kopyto.

Na pociechę donosimy skrupulatnemu statystykowi, że jakkolwiek w jego rzemiośle ostrożniejsi, śmiało możemy stwierdzić, iż mimo lisich umizgów — zwolenników „Kraju“ wśród lwowskiej młodzieży jest jeszcze ciągle: „około O“.

W SPRAWIE RZEKOMEGO ROZPOLITYKOWANIA MŁODZIEŻY.

W książce p. Scriptora p. t. „Nasza młodzież“, jest jeden zarzut, który spotykał już młodzież niejednokrotnie ze strony całego niemal starszego pokolenia. Mówię tu o zarzucie rzekomego rozpolitykowania młodzieży.

Nie myślę, broń Boże, przypisywać p. Script. zaszczytnej roli rzecznika starszego pokolenia. Skoro jednak zdanie oskarżyciela młodzieży w tej kwestyi zbiegło się przypadkowo ze zdaniem większości starszego pokolenia, uważam, że należy skorzystać ze sposobności i postarać się wyjaśnić wreszcie zbyt długo panujące pomiędzy nami a starszym odłamem społeczeństwa nieporozumienie w tej ważnej sprawie.

P. Scriptor rzucając młodzieży między wielu innemi i to oskarżenie porusza sprawy naszej taktyki tylko (nb. oświetlając ją jednostronnie) nie tykając wcale naszych zasad. Tymczasem inkryminowane „zboczenie“ wypływa z nieubłaganą logiką z naszych zasad i chcąc sprawę należycie wyjaśnić, należy zacząć od wyjaśnienia tych właśnie zasad.

Zasadą, na której stoimy, (nie chcę myśleć, żebyśmy byli tu w sprzeczności ze starszem pokoleniem) jest wiara niezachwiana w możliwość wskrzeszenia Polski.

Wiarę tę opieramy na faktach. Opieramy ją na tem, że naród nasz padł ofiarą mordu politycznego wtenczas, gdy już wstąpił w nowy okres dziejów, w dobę porządku nowożytnego. Że przez stuletni przeszło przeciąg niewoli naszej naród nasz w powstaniach, krótkotrwałych okresach rządów samodzielnych, w szeregu świetnych instytucyi, które stworzył i wielkich imion, które wydał — złożył niezbite dowody swych sił i swego prawa do życia.

Dla tych więc, co nie rozumieją, że ta wiara w możność odrodzenia Polski winna tkwić w naturze polskiej, że bez niej młodzież polska, a przynajmniej my młodzież narodowa żyć nie potrafilibyśmy, możemy wiarę tę uzasadnić.

Z tej wiary, z tego przekonania głębokiego wypływa jeden tylko logiczny wniosek — dążenie do wcielenia go w czyn.

Wierzymy w możność odbudowania Polski — dążymy do tego, Dążymy do państwa Polskiego, bo ewolucya dziejowa nie stworzyła dotąd możności rozwoju dla narodu poza państwem.

Bo życie narodu bez państwa, choćby bujne pozornie, jest sztuczne, cieplarniane, bezpłodne.

Dążymy więc do możności tego życia, bo któżby inny za nas dążył.

*Nous savons tous que la liberté ne peut venir de l'étranger**) powiada do Francyi uciśnionej przez koalicyę Benjamin Constant. Jestto prawda tak elementarna, że tylko z bólem głębokim przychodzi ją komuś przypominać.

Chcemy mieć Polskę — sami musimy ją tworzyć.

Jak?

Ci, co zadają sobie pracę (niestety, społeczeństwo zadaje jej sobie stanowczo zamało) poznania pism naszych lub tych ludzi, których zważają za naszych kierowników duchowych — wiedzą, że nie myślimy o natychmiastowem powstaniu, lub odbudowaniu Polski przed egzaminami.

Natomiast można się z tych pism dowiedzieć, że pracę naszą ku odrodzeniu Ojczyzny rozkładamy na przestrzeń czasu niewiadomą, ale zarazem, że i największe czasu nas nie odstraszą.

---

*) Wiemy wszyscy, że swoboda nasza nie może przyjść od obcych!

Że dążymy do umiłowanego celu drogą ścisłego zespolenia wszystkich warstw narodu, drogą wyrobienia tężyzny ducha polskiego, świadomości swej odrębności.

To są zadania ogromne, olbrzymie pola pracy!

I wobec tych zadań wagi niezmiernej, na tych olbrzymich polach pracy jesteśmy sami! Starsze pokolenie nas prawie nie wspiera.

Więc my sami musimy zastąpić nie tylko dla ludu, ale i dla młodzieży całego narodu, wszystkich warstw — szkołę narodową, choćby w jakiejś najmniejszej możliwej do osiągnięcia jej części.

Musimy podjąć się oczyszczenia w umysłach młodych Ojczyzny z tych fałszów, jakimi kala ją szkoła zaborcza, ukazania ludowi i młodszej braci „przeszłość' naszej — tego, co jedynie pozostało nam zupełnie nasze“ we właściwem świetle.

Czy to jest małe zadanie?

Musimy dalej podjąć się zaznajomienia ludu z temi prawami, które mu jeszcze formalnie przysługują, lecz są na każdym kroku gwałcone.

Czy to wymaga mało sił, pracy, czasu?

A przeciwdziałanie zręcznym zabiegom, skierowanym ku obałamuceniu umysłów ludu, ku wszczepianiu wiary w cara i zasianiu waśni między ludem i innemi warstwami społeczeństwa!

A przeciwdziałanie tym stokroć niebezpieczniejszym, bo swoim agitatorom, co starają się rozbudzić w niższych warstwach społecznych interesy i nienawiści klasowe.

To nie jest tak łatwe. To są zadania, które mogłyby wypełnić życie całych pokoleń. A do spełnienia tych zadań jest nas garstka.

Garstka. Bo młodzież, która rzuca się w oczy społeczeństwu swoją ruchliwością i udziałem na wszystkich wymienionych polach pracy, stanowi, niestety, znaczną mniejszość i drobną zaledwie część ogółu i, chociaż wciąż w siły rośnie, w stosunku do potrzeb społecznych stanowi szczupłą garstkę.

Nic więc dziwnego, że niejeden z nas nosi w duszy wieczną rozterkę między pragnieniem wiedzy a poczuciem obowiązku wobec narodu, że niejeden przedwcześnie stera swe siły fizyczne i umysłowe, lub zaniedba swego wykształcenia fachowego!

My się nie skarżymy, bo praca nasza daje nam takie chwile rozkoszy, co okupują wszystko, okupiłyby nawet stosy, ale czas już wykazać społecreństwu, jak niesprawiedliwem jest względem nas, robiąc nam z tej pracy zarzut.

Gdybyśmy się wyrzekli pracy społecznej i pogrążyli się wyłącznie w zdobywaniu wiedzy fachowej, dążyli jedynie do ekonomicznego podniesienia kraju, to pracowalibyśmy w myśl „zasady ułatwiania trzecim lub czwartym pokoleniom oswajania się i zastosowania do nowych zewnętrznych warunków“. Zasady, z którą, jak mówi Sienkiewicz „niema co próbować jakiegokolwiek kompromisu, którą należy zgnieść*).

Że w myśl niej nie pracujemy, tego chyba nie wolno brać nam za zbrodnię.

Nie dość na tem, że społeczeństwo starsze postępuje względem nas niesprawiedliwie, nie uznając konieczności naszej pracy, postępuje ono niepraktycznie.

Naród żyjący i patrzący w przyszłość ma potrzeby polityczne i społeczne niezależnie od woli jednostek czy grup i zawsze znajdą się ludzie, którzy potrzeby te zrozumieją, odczują i zaspokojeniu ich życie poświęcą. Chodzi o to, żeby ludzie ci nie byli wyjątkami, żeby razem z nimi myślało i czyniło całe społeczeństwo, bo zaspakajanie nieodzownych potrzeb społecznych przez garstkę młodzieży jest wysoce nieekonomiczne.

Rozumiemy dobrze, że starsze pokolenie, nie może w życiu swem uczynić gwałtownego przewrotu i stanąć obok nas w tej chwili na polu pracy nielegalnej. I nie wymaga tego. Ale w innym zakresie starsze pokolenie mogło by dużo zrobić pod tym względem. W zakresie prawa patryotycznego.
Niech przestaną rozważać i ksgtałcić patryotyzm, jako mgliste, bezpłodne uczucie. Niech Polska w umyśle młodzieńca nie będzie tylko rzewnym obrazem przyszłości. Niech w niej pokażą mu nie tylko rany lecz też i zdrowe, mocne strony życia, to co przetrwało do dziś trwać będzie. Niech za całe zadanie teraźniejszości nie wskazuje się mu jedynie zdobycie możliwe tłustrzego połcia, lecz przekona się go, że dziś tak samo istnieje służba ojczyźnie, jak istniała dla Polaków w XVI. Że skoro się chce odbudować Polskę, to trzeba na to pracować, a nie czekać założywszy ręce, aż jakiś los bez naszego udziału nam ją powróci.

Tego pierwiastku aktualności w wychowaniu dzisiejszem niema.

Jako coś rzeczywistego wskazuje się jedynie przeszłość, na teraźniejszość jest tylko skarga cicha, wskazanie materyalnego uży-

*) H. Sienkiewicz. Mieszaniny literacko-artystyczne część II. str. 109.

cia, jako celu na przyszłość westchnienie, niepewność i machnięcie ręką.

Dlatego też większość młodzieży naszej jest obecnie w wysokim stopniu zmateryalizowania, po za interesami brzucha, a często i podniebienie, nie chce wiedzieć o niczem. Dla tego to elementy inteligencyi naszej, co zmuszone są do szukania chleba na obczyźnie — tak prędko wynaradawiają się i giną dla kraju.

Czas już porzucić założenie, że dostatecznem wywiązaniem się z obowiązków względem kraju jest dla Polaka przewegietowaeie pewnej liczby lat we względnym dobrobycie.

Gdyby wychowawcy ukształcili młodzież przedewszystkiem na czynnych Polaków, później dopiero na inżynierów, urzędników i in. nie była by ona tak ospałą duchowo, jaką jest w większości swej dziś, nie trawiła by młodości swej po kawiarniach i bilardach, lub na bezmyślnem wykuwzniu kursów uniwersyteckich, byle otrzymać patent, wydała by ona w przyszłości pokolenie, które by stanęło by do pracy nad odrodzeniem Ojczyzny, w którem nie byłoby już rozpolitykowaniem młodzieży.

Przyp. Red. Zamieszczając powyższy artykuł jednego z naszych kolegów warszawskich, zastrzegamy się z góry, że nie mamy, a i kolega nasz nie miał z pewnością intencyi przekonywania ludzi w rodzaju p. Scriptora. Panowie ci świadomi fałszuje pojęcia stając na stanowisku policyjno-żandarmskim w określaniu granic „polityki". Dla nich „politykowaniem" jest uczeniem się ojczystej historyi lub literatury, lub dążność do zapoznania się z realnymi warunkami naszego politycznego i społecznego bytu z pism i wydawnictw niecenzuralnycg. Przekonywanie takich ludzi, że młodzież w swoim zakresie ma prawo „politykować", t. j. wyrabiać się na dobrych Polaków i obywateli byłoby rzeczą bezużyteczną, wobec biegunowo sprzecznych pojęć naszych. Kto upatruje ideał pracy kulturalnej w działalności rusyfikacyjnego teatru ludowego, a oburza się i miota obelgi za zdemaskowanie istotnego charakteru tej instytucyi — z tym wszelka dyskusya na temat zagadnień narodowych ustać musi. Natomiast parę słów wyjaśnienia, jaki zakres dla „polityki" swojej wykreśla sobie młodzież nasza może być użytecznem dla tych w gruncie rzeczy uczciwych i szczerze narodowych jednostek wśród starszego pokolenia, które pod wpływem frazeologii „Kraju" mogły nabrać przeświadczenia, że młodzież teraźniejsza rwie się gwałtem do kierowania sprawami narodowemi.

Polemika o wojsko.

Oo p. Władysława Studnickiego, autora artykułu „Do wojska otrzymaliśmy następujące „wyjaśnienie":

„Wśród mych młodych przyjaciół, wśród przedstawicieli poko-

lenia odradzającej się Polski, artykuł mój: „Do wojska"! spotkał się z życzliwem przyjęciem i był zrozumiany należycie.

Wystąpili przeciwko niemu maskujący się w patryotyzm redaktorowie „Promienia", dla których państwowo-twórcze dążności są zgoła niezrozumiałe. Nie mogli oni obalić twierdzenia, że armia jest czynnikiem państwowo-twórczym, gdyż jego prawdziwości dowodzi historya przykładami powstania Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego. Prof. Szymon Askenazy w pracach swych o genezie Księstwa i Królestwa (patrz studyum o Wielhorskim, pożegnanie stulecia i inne) wyjaśnił znaczenie legionów w powstaniu tak cennych dls naszego rozwoju narodowego tworów politycznych jak Księstwo i Królestwo. Nie mogąc obalić naszych twierdzeń, panowie z „Promienia" starali się całą sprawę ośmieszyć. Uznając tę sprawę za ważną, wracamy do niej, aby ją dokładniej wyjaśnić. Przeciwnicy nasi mogliby zauważyć, że jeśli legiony miały nawet znaczenie, to teraz przecież nie do formowania legionów wzywaliśmy w artykule „Teki", ale do służby oficerskiej w obcych armiach. Zarzut ten z łatwością da się obalić. Nie żyjemy obecnie w chwili odpowiedniej do tworzenia legionów, gdyż może ona nadejść tylko w razie wojny jednego z mocarstw zaborczych z Rossyą. By jednak chwilę tę wyzyskać, gdy ona nastąpi, musimy posiadać odpowiednią ilość wykształconych wojskowych. Oficerowie rezerwy nie posiadają odpowiedniego wykształcenia, aby mogli być oficerami wyższych stopni w armii czynnej. Kto myśli na seryo o niepodległości Polski i nie łudzi się, że ją dostaniemy z łaski innych narodów, ten musi myśleć o przyszłej akcyi zbrojnej, o wytworzeniu naszego pogotowia bojowego. Na czem jednak to „pogotowie" ma polegać. Odpowiedź da się sformułować w kilku postulatach: 1) Na przygotowaniu ideowem, polegającem na świadomości, że niemożliwym jest pomyślny rozwój narodowy bez samodzielnego bytu państwowego, a niepodobna osiągnąć niepodległości bez naszego współudziału w akcyi zbrojnej przeciwko ciemiężcom naszym. 2) Na dokładnej znajomości terenu przyszłej walki, t. j. naszego kraju, jego ludności i bogactw, gdyż tylko taka znajomość pozwoli nam wyzyskać wszystkie czynniki tak przyrodzone jak społeczne naszego kraju na naszą korzyść, na rozrost naszych sił potencyalnych, na spotęgowanie ich efektu w walce. 3) Na organizowaniu naszych sił narodowych, na utrzymywaniu dokładnej ewidencyi ludzi zdolnych do broni i gotowych do organizowania i kierowania akcyą zbrojną. Masy ludowe przeszły przez obowiązkową służbę wojskową, ale potrzebować będą

kierowników, a więc ludzi obznajomionych ze sztuką wojenną na średnich i wyższych stopniach wojskowych w armiach obcych.

Z tego ogromu pracy na różnych polach, jakiej wymaga od nas realna walka o byt niepodległy, błazenkowie z „Promienia“, zamaskowani socyal-stańczycy mogą wychwytywać poszczególne punkty naszego planu, który musi wypełniać długie lata i wołać: „Patrzcie — Polska będzie niepodległą, jeżeli kilkudziesięciu gimnazyastów zostanie oficerami, lub jeśli młodzi ludzie zajmą się badaniem stosunków ekonomicznych kraju“! Ale na takie błazeńskie zarzuty odpowiadać nawet nie warto.

Przeciwko artykułowi „Do wojska!“ wystąpił także i „Kuryer Lwowski“. Zaślepiony zawiścią partyjny, niezdolny do zrozumienia szerszych dążności państwowo-twórczych, „Kuryer Lwowski“ pomieszcza wszelkie bzdurstwa i plugastwa przeciwko demokracyi wszechpolskiej, choćby nawet nie wypływały one z przeciwieństw programowych. Otoż w „Kuryerze“ z 13. marce zjawił się artykuł, najwidoczniej elukubracya jakiegoś przygodnego współpracownika, p. t. „Zanik poczucia moralnego“, skierowany przeciwko zamierzonemu w „Tece“ wezwaniu „Do wojska“! W artykule tym autor w sposób ordynarny wymyśla demokracyi wszechpolskiej za idee zawarte w mym artykule. Nawiasem mówiąc, te same idee poruszałem w „Kuryerze Lwowskim“ w r. 1901. Wówczas nie nazywało się to „zanikiem poczucia moralnego“.

„Jeżeli jesteśmy narodem — pisze bezimienny autor artykułu w „Kuryerze Lwowskim“, musimy się trzymać moralnego kodeksu wyrobionego doświadczeniem w przeciągu kilku tysięcy lat dla wszystkich bez wyjątku narodów, a podług którego każdy obywatel służyć ma z dobrej woli wojskowo własnemu jedynie narodowi“. Na tę zasadę zgadzamy się najzupełniej. Ponieważ jednak nie mamy ani uznanego bytu politycznego, ani w ł a s n e j armii, a do zdobycia własnego bytu państwowego dążymy, więc powinniśmy mieć dążność do wytworzenia własnego wojska. Polacy służący w armii obcej, ale zawsze wierni naszym dążnościom państwowo-twórczym, są właściwie wojskiem polskiem, które w chwili odpowledniej potrafi spełnić swą powinność wobec narodu, urzeczywistnić nasze najwyższe prawo moralne.

„Dosyć nam już wrogowie nasi robili zarzutów z powodu nieszczęśliwego wallenrodyzmu“! — woła autor artykułu w „Kuryerze Lwowskim“. Coż nas obchodzić mogą zarzuty wrogów? Wrogowie chcą nas urobić odpowiednio do swych interesów i potrzeb. Siła

Samsona zawierała się we włosach — należało je więc obciąć pogrążonemu we śnie bohaterowi. Siła narodu zawiera się w jego własnych dążeniach, w tem, że prawo do niepodległego bytu uważa za najwyższe prawo moralne, a liczy się z nakazami zaborczych rządów tylko o tyle, o ile tego roztropność i interes narodowy wymagają. Otóż chcąc wykorzenić ów zdrowy instynkt narodowy, wrogowie nasi starają skrępować nas różnemi doktrynami etycznemi, urobić na niewolników, w których duch niewoli zastępowałby siłę przymusu zewnętrznego nie zawsze wystarczającą i nie zawsze możliwą do zastosowania.

W swych ni to rewolucyjnych ni to stańczykowskich zapędach autor „Zaniku poczucia moralnego“ doszedł do wygłoszenia absurdu, że nasze wezwanie „Do wojska“! zamknie nam drogę do karyery wojskowej. Jesteśmy skromniejsi i nie przypisujemy „Tece“ takiego wpływu na rządy zaborcze. Nie ulega jednak wątpliwości, że obawa przed naszemi dążeniami narodowemi zmusza rząd rosyjski i pruski do utrundniania Polakom karyery wojskowej. Wspomnieliśmy o tem w poprzednim artykule, wezwanie też nasze zwracało się do młodzieży galicyjskiej, mieliśmy na myśli jej służbę w armii austryackiej, gdyż tutaj stosunki inaczej się dla nas układają. Nasze stanowisko polityczne w Austryi zawdzięczamy naszym dążeniom irredentystycznem wobec Rosyi, która zaborczością swoją zagraża Austryi. Dlatego też oficerowie Polacy, którzy rwaliby się do przepędzenia Rosyi z ziem polskich, muszę z punktu widzenia państwowego bardziej być dla Ausryi pożądanymi, aniżeli np. Czesi, duszą oddani Rosyi lub Niemcy-prusofile, gotowi przy pierwszym zbrojnym zatargu Austryi z Prusami przejść razem z pułkami na stronę wroga.

Ukrajowienie armii stojącej w Galicyi leżąc zarówno w dobrze pojętym interesie Austryi jak i w waszym narodowym interesie i dałoby się przeprowadzić, pomimo oporu tego lub owego zdziecinniałego generał-rutynisty, ale na to trzeba świadomej akcyi ze strony naszych polityków i trzeba przedewszystkiem, aby młodzież polska garnęła się do wojska. Sprawę ukrajowienia armii poruszałem w swoim czasie na szpaltach „Kuryera Lwowskiego“, odbiło się to w świeżo ogłoszonym programie stronnictwa ludowego w następującym postulacie: pozostawienie w kraju wojska w Galicyi rekrutowanego; obowiązkowej i dokładnej znajomości języka polskiego ze strony oficerów“. Program ten został dodany do tegoż samego numeru „Kuryera“, w którym umieszczono artykuł p. t.

„Zanik poczucia moralnego“. Oto więc logika „Kuryera“: oficerowie winni znać język polski, należy dążyć do ukrajowienia armii, na wezwanie jednak, aby młodzież wstępowała do wojska, „Kuryer“ ma tylko jedną odpowiedź: „Tfu, i jeszcze raz tfu“! Jeżeli może być tu mowa o zaniku poczucia moralnego, to chyba u redakcyi „Kuryera“, gotowego przez zawiść partyjną oplawać własne postulaty.

Władysław Studnicki.

Przyp. Już po złożeniu niniejszego artykułu, zjawił się art. Nr. 82 „Kurjer Lw.“ „W odpowiedzi narodowym demokratom“ który nie zawiera ani cienia argumentu, a jest tylko stekiem wymyślań i konceptów pośledniejszego gatunku, zapożyczonych z pism humorystycznych. Artykuł ten dowodzi tylko, że wobec zaniku zmysłu moralnego w rodzaju „Kurjera Lwow.“ lub niepoczytalności umysłowej jego redaktorów, wszelkie próby oddziaływania tych ludzi na młodzież muszą znaleźć odpowiednią odprawę.

W. S.

* * *

Wezwanie nasze „Do wojska“! (pióra p. Władysława Studnickiego) zamieszczone w styczniowym numerze „Teki“ wywołało żywe zainteresowanie się wśród młodzieży. O ile nam wiadomo, koledzy nasi zrozumieli nas należycie. Hasło znalazło przeważnie sympatyczne przyjęcie, jakkolwiek nie ukrywaliśmy przed sobą i koledzy nasi zdają sobie należycie sprawę ze wszystkich trudności, jakie leżą na drodze praktycznego urzeczywistnienia te myśli. Wątpliwościom, jakie się w sferach młodzieży objawiły, daje wyraz kolega M. w artykale poniżej zamieszczonym. Z zadowoleniem jednak skanstatować możemy, że nawet młodzież t. zw. „postępowa“, obóz przeciwników naszych, występując z krytyką wezwania naszego, stara się trzymać rzeczowego gruntu, nie kwestyonuje naszej dobrej wiary ani szczerości pobudek naszych. „Promień“ jest oczywiście przeciwnikiem armii stałej, to też oświadcza stanowczo, że „gdy będziemy mieli niepodległą polską republikę, to pierwszą naszą czynnością będzie ustanowienie milicyi na miejsce armii stałej“. Tak, ale sprzeczać się o wartość milicyi w porównaniu z armią stałą, mamy czas w „niepodległej polskiej republice“, a my obecnie musimy starać się rozwiązać kwestyę, czego nam potrzeba, aby przyjście tej „niepodległej republiki“ zbliżyć. Czy posiadanie oficerów polskich nie jest koniecznem dla wywalczenia sobie niepodległości — na to „Promień“ nie daje odpowiedzi. Inne argumenty jego nie wytrzymają krytyki. A więc najpierw

nieprawdą jest, że konstytucya szwajcarska zakazuje trzymać choć jednego żołnierza stale uzbrojonego. Jeśli nawet tak jest, to tylko w teoryi. Widzieliśmy żołnierzy szwajcarskich „stale uzbrojonych“ w Zurichu, w Luzernie, w Bazylei. Na pograniczu włoskiem jest cały szereg ufortyfikowanych punktów, obsadzonych przez załogi. Nie mamy pod ręką cyfr, aby wykazać „Promieniowi“, ile wojska trzyma Szwajcarya stale pod bronią. Że jednak je posiada — nie ulega wątpliwości.

„Promień“ wskazuje na wielką ilość samobójstw w armii austryackiej (308 na 100.000 mieszkańców), co ma być argumentem przeciwko naszemu wezwaniu. Przeciwnie, opłakane te stosunki jedynie popierać mogą myśl naszą. Oficer Polak będzie zawsze lepiej obchodzić się z żołnierzem Polakiem, aniżeli Niemiec, Węgier, nawet Czech, obcy mu z mowy, niekiedy pełen niechęci, nawet nienawiści narodowej do innoplemieńców żołnierzy.

Tyle co do „Promienia“. Powtarzamy, argumenty jego nie są przekonywujące, ale zarzuty robione z dobrą wiarą. Inaczej postąpił sobie „Kuryer lwowski“.

W numerze z 13 marca ukazał się tam artykuł p. t. „Zanik poczucia moralnego“. Autor oburza się na nas, że śmiemy proponować młodzieży służbę w obcem wojsku dla sprawy własnego narodu, widzi w tem „zanik poczucia moralnego“, a zarówno dla tych, co myśl tę propagują, jak dla tych, co mogliby pójść za nią, ma tylko: „Tfu! i jeszcze raz tfu!...“ Słusznie zauważyło „Słowo Polskie“ omawiając ten gwałtowny atak ślinotoku, że autor splunął nie na „Tekę“ i jej zwolenników, ale na mogiły tych bohaterów i męczenników 63-go roku, jak Traugut, Sierakowski, Padlewski i wielu innych, co „zdradzili swoich przełożonych“, bo poszli do powstańczych szeregów z wojska rosyjskiego. Z dalszej polemiki „Kuryera“ ze „Słowem“ dowiedzieliśmy się, że autorem artykułu p. t. „Zanik poczucia moralnego“ jest człowiek „cieszący się powszechnym szacunkiem, jeden z wybitnych uczestników ostatniego powstania“. Tem gorzej, ale nie dla nas. Szacunek jest rzeczą nabytą, którą utracić można. Zdarzają się takie rozdwojenia osobistości w oczach opinii publicznej, zasługi uczestnika powstania nie okupują wad polemisty „Kuryera lwow.“. Jakiekolwiek nazwisko rzuciłby tutaj „Kuryer lwowski“ na szalę polemiki, szanować w niem będziemy zasługę przeszłości, ale nie zmienimy zdania o wartości jego artykułów. Kto potrafi nam insynuować, że jesteśmy apologetami takich zdrajców własnego narodu, jak Dobrowolski, którzy służąc w moskiewskim

wojsku, przelewali krew własnych braci, temu zarzut „zaniku poczucia moralnego“ musimy odrzucić.

Jest rzeczą charakterystyczną, że z atakiem „Kuryera“ na nas pospieszył się zsolidaryzować się „Kraj“ petersburski, nazywając wezwanie nasze „szalonym pomysłem“ i przytaczając „celniejsze“ wyjątki z artykułu „Kuryera“. Nie po raz to pierwszy „Kraj“ roztacza opiekuńcze skrzydła nad naszymi ludowcami, gdy występują oni do walki z młodzieżą demokratyczno-narodową. I nic dziwnego, „Kraj“ jest doskonałym rezonatorem wszelkich nie-narodowych tonów. Ma delikatne ucho i potrafi pochwycić je i wyróżnić w całym gwarze różnorodnych głosów prasy. Chwyta je i wzmocnione reprodukuje, bez względu na to, skąd pochodzą. Zarówno krzykliwe tony socyalistycznego „Naprzodu“, jak głosy mohikanów warszawskiego pozytywizmu i zdecydowanych moskalofilów zaboru pruskiego znajdują głośny i sympatyczny odzew na szpaltach organu naszych pół-Moskali. Ludowcy ani się spostrzegli, kiedy się znaleźli w ich sympatycznem towarzystwie. Zacietrzewieni w walce z „wszechpolakami“ ani się spostrzegli, kiedy zaczęli walczyć z ideą wszechpolską. I dziś jesteśmy świadkami jedynego w swoim rodzaju widowiska, jak „cieszący się powszechnym szacunkiem uczestnik ostatniego powstania“ w sojuszu z p. Erazmem Piltzem wyruszają na wspólną krucyatę przeciwko młodzieży dem. narodowej, jak petersburscy moskalofile głaszczą po główce naszych starych i młodych ludowców, którzy w życie młodzieży mają wprowadzić „nowe prądy“ przeciwstawiające się wszechpolskiemu kierunkowi. Najlepszo to dla nas miara wartości owych „nowych prądów“ wypływających z redakcyi „Kuryera lwowskiego“. *Red.*

*
* *

Od jednego z kolegów otrzymujemy następujący artykuł:

W myśl wezwania, umieszczonego w przypisku redakcyjnym do artykułu styczniowego p. t. „Do wojska!“ nadsyłam kilka uwag, które się może cośkolwiek przyczynią do wyjaśnienia tej nader żywotnej a zawiłej sprawy. Autor omawianego artykułu postawił ją zbyt apodyktycznie, niebaczny na cały szereg okoliczności i wypadkow, które mogą poważnie jego wezwanie zakwestyonować. Pominę tu naturalnie wszelkie zarzuty natury etycznej, wymierzone w owym przedewszystkiem nieuczciwym, bo nędzne pobudki autorowi i pismu podsuwającym artykule „Kuryera lwowskiego“. Oce-

niam wezwanie do wojska, jako głos szczerze polski, projekt nowy w dobie obecnej, więc w społeczeństwie niedość przemyślany i jako taki na wielostronną krytykę oczekujący.

Chcąc go też gruntownie skontrolować, należałoby przedewszystkiem sam przedmiot znać, o co u nas bardzo trudno, trzeba by być samemu wojskawym i to nie pierwszym z brzegu; należałoby uwzględnić wszystkie warunki, wśród jakich żyje Polak w austryackiem wojsku, poznać tych Polaków oficerów, wglądać w życie szkół kadeckich i wojennych akademii, poznać i dyscyplinę i dane statystyczne itp. Do roztrząsania tych pierwszorzędnych zagadnień nie czuję się zupełnie powołanym.

Na razie poruszam tylko jedną kwestyę: Kto może pójść za wezwaniem do wojska? Czy każdy młody Polak, austryacki poddany może się zdobyć na ten krok ryzykowny, czy do każdego można ten głos skierować?

Odpowiadam stanowczo — nie,

Służba wojskowa, tak jak ją autor wezwania w założeniu pojmuje — nie jest czynem codziennym, nie jest intratną posadą; jest to niepowszednia ofiara, na którą nie każdy zdobyć się może i powinien. Jednostki tylko wyjątkowe, bardzo unarodowione, dzielne charakterem i w postanowieniu niezłomne niech się porywją na bohaterstwo. One tylko wytrwać zdolne tam, gdzie cel ziszczenia marzeń tak nieokreślony i daleki.

Polak przeciętny, choćby szedł dla idei — złamie się. Autor wezwania marzy o 90 prc. oficerów Polaków w Galicyi! Bez kwestyi, gdyby się to stać mogło, niebezpieczeństwo wynarodowienia się byłoby usunięte, stosunek sztabu oficerskiego do podwładnych, wojska do cywilnej ludności uległby korzystnej zmianie. Czy się jednak autor nie łudzi? Gdyby się nawet udało uzyskać połowę tego procentu? Czyż wybór miejsca pobytu od tych oficerów zależy? Z pewnością ta liczba rozprószy się po całej monarchii, bo w interesie państwa, Austryi będzie leżało jej rozbicie. Wszak dziś jest tak z wojskiem węgierskiem. Pobyt ustawiczny wśród obcej ludności, wśród cudzoziemców-kolegów nie złamie chyba najdzielniejszych — wyjątki. Stąd też motywy natury ekonomicznej wysuwane przez autora wydają mi się w tym wypadku najmniej uzasadnionymi. Życie wojskowe w dzisiejszych czasach posiada chyba dość filisterstwa, sobkowstwa! Motywy te sprzeciwiają się zresztą zasadniczej idei artykułu, a z tą tylko liczyć się możemy. A jeżeli mamy się z nią liczyć, to nie popularyzujmy hasła „do wojska!“ Poddawajmy

tę myśl chyba najdzielniejszym jednostkom, przedewszystkim kolegom najstarszym, mającym niewzruszone podstawy poczucia narodowego, odpowiedzialności i hart ofiary. Nie mówmy jednak nic najmłodszym, co z 4ej gimnazyalnej, zbrzydziwszy sobie książkę — rwą się, parci dziecinnym animuszem, do ostrogi i szabelki, bo przysporzym jedynie Łobzowom i Koszycom nowego kontyngentu polskich Austryaków, szykownych kadetów, którzy po kilku latach własną mowę kaleczą. Są zawody, gdzie niewolno być jedynie poprawnym rzemieślnikiem. Smutne doświadczenie poucza nas w Galicyi o tych pobudkach, które przeważnie kierują kolegów na teologię. Zawód Polaka-oficera taki, jak go pojmuje autor wezwania, to też rodzaj kapłaństwa.

Więc głośne hasło: „Do wojska"! to miecz obosieczny. Bądźmy ostrożni. I niech się namyślą dobrze ci najlepsi, którzy zgodni z ideą autora poświęcaćby się pragnęli. *M.*

* * *

Inny kolega pisze nam:

Szanowna Redakcyo!

Jest rzeczą smutną, gdy smiałość sądu idzie w parze i zgoła opiera się tylko na ignorancyi. Tak się rzecz ma, gdy my Polacy rozprawiamy o sprawach wojskowych. Wielki naród żołnierzy zatracił ducha wojennego. Zapewne, i mowy nie ma o tem, aby ogół ludzi wykształconych mógł śledzić postępy w technice militarnej; najtęższe głowy w sztabach jeneralnych pracują cicho i ciągle, aby utrzymać się na poziomie współczesnej wiedzy wojskowej. Ale chociażby dlatego, że historya nasza jest, jak historya wszystkich wielkich narodów, w znacznej mierze historyą wojen, mamy prawo żądać od t. zw. inteligencyi elementarnej znajomości historyi sztuki wojskowoj. Nie byłoby wtedy możliwem, aby o wojsku rozprawiali ludzie, może bardzo śmiało z postępem kroczący, ale nie zdający sobie sprawy z elementarnych zasad sztuki wojskowej.

Słyszałem legendę, jak Mierosławski w r. 1846 czy 1863 chciał zastosować system wozów wojennych, znany uczniom klasy VI. gimnazyalnej z Xenofonta dziejów wojen perskich, a twórca tego fantastycznego pomysłu był porucznikiem, potem profesorem historyi we francuskiej szkole politechnicznej, potem wodzem naczelnym. Wiele też naiwności przebaczyć należy tym, którzy tak namiętnie zwalczają poruszoną w „Tece" myśl pomnożenia naszej

wiedzy militarnej narodowej. Nie będąc w tych sprawach kompetentnym, nie chcę głosu zabierać. Ponieważ jednak w dyskusyi obie strony powinny się powołać na argumenty zaczerpnięte z historyi, zwracam uwagę, że przecież (jakkolwiek ubogą) mamy w tym kierunku literaturę polską, a przy jakiej takiej znajomości języka francuskiego i niemieckiego, każdy człowiek dobrej woli może znakomicie zmniejszyć swoją w tej kwestyi ignorancyę*).

Mam nadzieję, że wrogowie „Teki“ zdołają pohamować nieco temperament, wstrzymać na chilę potok ordynarnych obelg i złorzeczeń, i wdadzą się w rzeczową dyskusyę, która nie będzie przecież zupełnie bez korzyści. Dlatego zwracam uwagę na prace Sejmu Wielkiego i Kościuszki. Były to prace niezmiernie pouczające: wszak po stuletniej niemocy miano wtedy przywrócić narodowi jego moc wojenną. Rychło po odsieczy wiedeńskiech nastąpił w Rzpltej upadek sztuki wojskowej równie szybki jak głęboki. Jak upokarzający obraz przedstawia Rzplta w okresie wojen Karola XII., kiedy to saskie, szwedzkie i rosyjskie oddziałki pędziły przed sobą jak trzodę kupy zbrojnej jazdy szlacheckiej!

Za Stanisława Augusta tylko wojska cudzoziemskiego autoramentu, zorganizowane na modłę zachodnią, przedstawiają jakąś siłę poważną. W obozach gromad zbrojnych konfederatów barskich rodzi się idea walki o niepodległość narodową, ale nie podnosi się jeszcze poziom sztuki wojskowej. Stąd cała trudność, wobec której stanął Sejm Czteroletni. „Skąd było wziąć wykształconych i ugruntowanych w służbie oficerów... kiedy dotąd nikt się niczego nie

---

*) Górski Konstanty, pułkownik w historyi piechoty polskiej, jazdy i artyleryi (w trzech oddzielnych książkach) podaje krótką historyę tych trzech rodzajów broni w okresie istnienia Rzeczypospolitej. Z XIX. wieku mamy bogatą literaturę pamiętnikarską, żeby wymienić tylko świeżo ogłoszone wspomnienia generała Kołaczkowskiego. Mamy jedną piękną, europejską monografię o pułku szwoleżerów. Z wojen okresu napoleońskiego opracował jedną generał Roman Sołtyk (Relation des opérations de l'armée aux ordres du prince Joseph Poniatowski pendant la campagne de 1809 en Pologne contre les Autrichiens). Książka Puzyrewskiego o r. 1831 jest przetłómaczona na język polski. Małą a tak niezmiernie ciekawą broszurę prof. Delbrücka o strategii XVIII. stulecia i nowożytnej może każdy przeczytać z łatwością (Ueber den Unterschied der Strategie Friedrichs u. Napoleons). Tanie są też inne prace tego uczonego, a niemniej dostępne są we wszystkich znaczniejszych bibliotekach niemieckie wydawnictwa klasyków wojskowych, jak n. p. Clausewitz: Vom Kriege, Friedrich der Grosse: Die General-Principia vom Kriege, Jomini, Turenne, Lloyd itd. ist.

uczył i nic nie umiał". Dlatego 20. grudnia 1788 r. „warował" sobie „zarządzenia stosowne uczynić... względem oficerów rodaków z obcych służb do ojczystych wrócić chcących", a 11. lutego 1790 r. uchwalono, że „do trzeciej części na ten raz do wszystkich etatem utworzonych placów w pułkach przedniej straży i regimentach prawo mieć mają rodacy z służby zagranicznej przychodzący". Niewielu, niestety, było wówczas Polaków, którzyby zagranicą zdobyli wyższą wiedzę wojskową. W tem leży w znacznej części powód daremności wysiłków stworzenia stutysięcznej armii. Książę Józef, którego wymagania były bardzo skromne, mówił przecież o armii polskiej z r. 1792, że zaledwie ją można wojskiem nazwać. Jakże brakło Kościuszce pomocników umiejętnych do wcielenia wielkich pomysłów obrony narodowej. Wodzicki, dawniej porucznik w saskiej gwardyi, i Grochowski, podpułkownik z armii pruskiej, dźwigali wspólnie z naczelnikiem ciężar wojny w pierwszym okresie. Gdy obaj legli na szczekocińskiem pobojowisku, został się w sztabie Kościuszki bodaj sam jeden Dąbrowski, który dorastał głową do wielkości chwili. W czasie oblężenia Warszawy to była jedyna siła, którą można było przeciwstawić starym fryderycyańskim generałom pruskim. Ten pół-Niemiec odrzucił Fryderyka Wilhelma od Powązek i przez wyprawę wielkopolską unieruchomił 45.000 żołnierzy pruskich aż do końca kampanii 1794 r. Nie miał Kościuszko drugiego takiego pomocnika do działania na prawym brzegu Wisły — i przyszły Maciejowice i przyszła rzeź Pragi.

Ale dość. Zanim przystąpimy do naukowej dyskusyi, musimy widzieć u przeciwników oznaki zrozumienia rzeczy i dobrej woli czy też uczciwości politycznej. A można domagać się tego. Sprawa jest zbyt ważną, aby można ją zepchnąć z porządku dziennego przez kilka wykrzykników. Skoro Galicya ma podjąć wiele prac za dwa inne zabory, musi podjąć i tę nieodzowną. Z rekrutów rosyjskich, pruskich i austryackich mamy zrobić obywateli Rzpltej, ale mamy także przysposobić dla nich przewódców, a w obecnem położeniu tylko w Galicyi jest to możliwe. Trzeba rozważyć wszystkie niebezpieczeństwa, jakie na tej drodze grozić będą chatakterom słabym; dlatego jednak, że takie niebezpieczeństwa istnieją niewątpliwie, niewolno jeszcze cofać się odrazu i ręce opuszczać bezczynnie.

A. M. N. S.
słuchacz filozofii uniw.

KRONIKA.

Lwów. — *Akad. Koło Tow. Szkoły ludowej. Wybór delegatów do „Ogniwa". Wiec ogólno akad.* Zaczynamy od epilogu smutnej pamięci „secesyi" z Ak. Koła T. S. L, jakkolwiek sprawa jeszcze niedojrzała i daleką jest od rozwiązania i jakkolwiek obraca się ona głównie w kole drobnych epizodów przeważnie osobistej natury. Omawiając te rzeczy, należy z góry uczynić zastrzeżenie, że nie piszemy tu o działalności wszystkich kolegów, którzy do „secesyi" należeli, a tylko o tych zacietrzewionych jednostkach, których usiłowania okazały się tutaj wysoce szkodliwe dla jednego z najważniejszych w Polsce Towarzystw oświatowych.

Nie poprzestali bowiem ci ludzie na nakłonieniu pewnej ilości kolegów do wystąpienia z Koła, ani na chęci założenia jakiegoś „partyjnego" Koła, które z natury rzeczy będzie musiało wchodzić w konflikt z istniejącem Akademickiem i Technickiem Kołem, ale rozpoczęli ciemną, krecią robotę, korzystając ze znajomości, jakie wśród ludu poczynili. Dzisiaj szczegółowo tych rzeczy nie będziemy omawiali — przynosi ona wstyd. Stwierdzić na ogół trzeba, że agitatorzy młodzi rozpoczęli bardzo pilne zabiegi, aby wprowadzić wśród lud nieufność do Akademickiego Koła i podkopać tą drogą pracę, która niedawno była i dla nich świętą.

Okazały się już skutki tej „polityki". I nie dziw, że takie przeczenie w życiu zasadom wygłaszanym przez tych samych ludzi jak i wszystkie ostatnie dziecinne i złośliwe wybryki przywódcow „stronnictwa ludowego" wśród młodzieży — musiały obudzić powątpiewanie w dobrą wiarę tych ludzi, dziwnie nadętych wielką a niespodziewaną rolą „politycznych działaczy".

Odbyły się w czasach ostatnich Walne Zgromadzenia „Czytelni akademickiej", „Bratniej pomocy słuch. uniwers.", „Akademickiego Koła T. S. L." na których wybrano ogółem 27 delegatów na zbliżający się zjazd „Ogniwa", związku polskich Towarzystw akademickich w Austryi. Inne Towarzystwa uczynią to zapewne niedługo. Po za wyborem delegatów czynią się i w zarządzie „Ogniwa" i w komisyi gospodarczej przygotowania pilne na zjazd 5. kwietnia.

Dnia 14. u. m. w sali Towarzystwa pedagogicznego odbył się ogólno akademicki wiec w sprawie „zagrożenia swobód obywatelskich w związku z prześladowaniem ruchu wolnościowego na Ukrainie".

Wiec zainicyowany przez „Czytelnię akademicką“, otwarty został krótkiem przemówieniem przez jej przewodniczącego a przebieg jego był bardzo poważny i jednomyślny, mimo, iż sama sprawa zaskoczyła ogół dosyć nagle. Po referacie kol. A. Plutyńskiego, przedstawił stosunki w obszernem przemówieniu kol. Mełeń, Rusin, następnie przyjęto jednogłośnie rezolucyę kol. Dąbskiego z poprawką kol. Mączewskiego. Pomijając niefortunny występ jednego z kol. socyalistów, który i tutaj znalazł powody do krzyków na narodowych demokratów — dodać należy, że jednomyślnie przyjęto rezolucyę jednego z ostatnich mowców kol. Kolankowskiego, wyrażejącą sympatyę do wolnościowego ruchu na Ukrainie, dążącej do zerwania rosyjskiego jarzma. Wiec wywołał liczne objawy zaciekawienia i zdumienia w prasie. A jednak sprawa była tak prostą. W obronie praw własnego narodu stawaliśmy zawsze niezłomnie i tego stanowiska nie porzucimy nigdy — okazaliśmy jednak przy tej sposobności, że nienawiści do Rusinów nie żywimy, że w szlachetnych dążeniach swych znajdą zawsze u nas poparcie.

Zaś bezpośrednią przyczyną wiecu był oburzający nas wszystkich zarówno fakt, że władze austryackie w sposób zupełnie jawny oddały się na posługi policyi rosyjskiej i przedłużając jej ręce w tępieniu wolnościowego ruchu poza kordonowego, wprowadziły, nawet ze względu na ustawy austryackie, niesłychany zamęt w najkardynalniejsze pojęcia praw i swobód obywatelskich. Przeciw barbarzyństwu Rosyi wiece nasze nie pomogą wiele; w państwie konstytucyjnem jednak, rząd musi się liczyć z wolą obywateli i ich reprezentacyi w parlamencie.

Po wiecu ruszył spory zastęp młodzieży ulicą Słowackiego; policya w przeczuciu, że chodzi tu o demonstracyę przed konsulatem rosyjskim, z niesłychaną gwałtownością natarła na młodzież. Zjawiła się i konna policya; czterech akademików aresztowano, mimo okazania kart legitymacyjnych i wypuszczono dopiero po interwencyi na policyi.

═ *Nieproszony a źle poinformowany opiekun młodzieży.* „Kurjer lwowski“ od pewnego czasu coraz chętniej przybiera ton i pozory mentora młodzieży, powołanego do wezwań i kontrolowania jej czynów, choć ma o nich zbyt słabe wyobrażenie i choć ta „opieka“ ma zbyt widoczne pozory „na daleką metę“ obliczonej polityki zarzutów pod adresem tych, którzy obecnie na czele lwowskiej młodzieży stoją. Długie a nudne i zbyteczne pouczenie pod adresem lwowskiej młodzieży akademickiej znaleźliśmy w Nr. 88 „Kurjera

lwowskiego„ w artykule p. t. „IV. Zlot sokoli“. Podnosząc znaczenie odbyć się mającego IV-go Zlotu sokolego we Lwowie, „Kurjer lwowski“ stwierdza, że „wobec ogólnego zainteresowania się Zlotem tak w kraju, jak i we wszystkich innych ziemiach słowiańskich, uderzająco odbija obojętność polskiej młodzieży akademickiej, która dotychczas jeszcze nic nie postanowiła w tej mierze. Znając patryotyczną młodzież naszą, nie wiemy, jakie mogą być przyczyny tej abstynencyi. Trudno przypuszczać, aby w chwili takiej, w której cały naród polski, a z nim cała zaprzyjaźniona Słowiańszczyzna weźmie udział, młodzież akademicka stała na uboczu z założonemi rękoma“ i t. d., w tonie patetyczno-przesadnym, następuje całoszpaltowa tyrada, którą, jesteśmy pewni, powtórzą, nauczywszy się poprzednio na pamięć nasi młodsi „ludowcy“ na najbliższem Walnem Zgromadzeniu „Czytelni“ kując z niej broń polityczną przeciwko „wszechpolakom“. O naszym stosunku do Słowiańszczyzny i o słowianofilstwie „Kurjera lwowskiego“ będziemy może mieli sposobność pomówić kiedyindziej, obecnie stwierdzić tylko możemy, że całe „kazanie“ jego pod adresem młodzieży było zbyteczne, bo ci, na których cięży odpowiedzialność inicyatywy zrobili wszystko, co do nich w stosunku do Zlotu należało. Dobrze jest być moralizatorem, ale trzeba wiedzieć, kiedy i za co morały prawić, a „Kurjer“ najlepiejby w tym wypadku uczynił, gdyby troskę o „cudze proso“ pozostawił innym.

= *Sprawy honorowe.* Plagą życia akademickiego w ostatnich czasach stały się t. zw. sprawy honorowe. Po każdym niemal wiecu, po każdem Walnem zgromadzeniu wynika ich cały szereg. Krzykliwi a małoduszni „radykali“ przeróżnych obozów uwzięli się, by nietrzymając się rzeczowego gruntu, czepiać się osób, osobiste obelgi, inwektywy i insynuacye raz w raz padają z mownicy, gdzie przyszli obywatele wprawiają się w praktykę demagogów. Pociągani do odpowiedzialności, nie mają najczęściej odwagi ponoszenia skutków słów swoich, cofają je lub odwołują, po uprzednim galamatjasie „sądów honorowych“, które po odbyciu całego szeregu nieskończenie długich posiedzeń, po zapisaniu plików całych papieru, wydaje wyroki niezadowalniające najczęściej poszkodowanego. Doszło do tego, że instytucya „sądów honorowych“, najprostsza zdawałaby się i najbaroziej przystosowana do cywilizowanych stosunków współczesnego życia, wielu wydaje się niewystarczającą, że pojawiają się zdania, jakoby wyroki tych sądów rozzuchwalały tylko bezczelnych a tchórzliwych, którzy wiedzą, że nawet ciężka obelga

rzucona pod adresem jednostki, ujdzie im najczęściej bezkarnie. A przytem najbardziej oddani koleżeńskiemu życiu, częstokroć nie mają poprostu odwagi przyjmowania mandatów swych najbliższych przyjaciół, wiedząc, że prowadzenie tych „spraw honorowych“ — to młócenie pustej słomy, denerwujące jedynie — marnowanie drogiego czasu. Nic dziwnego, że zjawiają się rozpaczliwie radykalne projekty, aby w interesie spokoju życia akademickiego, nie reagować wogóle na zaczepki pomniejszej wagi, w wypadkach zaś ważniejszych nie dopuszczać do ugodowego załatwienia sprawy, a żądać zawsze satysfakcyi orężnej. Ma to być jedynem lekarstwem na krzykliwych tchórzów, którzy dziś bezkarnie miotają obelgi, aby je następnie w sposób „honorowy“ odwoływać. Powtarzamy, pomysły to rozpaczliwe. Ale z drugiej strony ciągłe ropienie się teraźniejszych stosunków wymaga energicznych środków sanacyi. Może bliski zjazd „Ogniwa“ zechce się zastanowić nad nimi.

Warszawa. = *Odezwa Związku socyalistycznej Młodzieży Polskiej*. Z powodu głośnej „sprawy Korwina“ ukazała się w Warszawie odezwa z podpisem „Związku socyalistycznej Młodzieży Polskiej“, piętnująca młodzież warszawską za rzekome oczyszczenie Korwina-Piotrowskiego ze stawianych mu zarzutów. Odezwa „Związku“ zawiera nadto przesadną charakterystykę osobistości K.-P., oraz patetyczne frazesy o stanie naszej młodzieży. Zarówno treść kłamliwa jak i wysoce niewłaściwa forma tej elukubracyi, zasługują na surowe potępienie. Młodzież akademicka nietylko że nie rehabilitowała K.-P., lecz przeciwnie w dniu 15. lutego t. j. w dniu ukazania się odezwy, energicznie zaprotestowała przeciw występom publicznym „kolporteraa ideałów Prusa“. Autorowie odezwy, zabierając głos w tej sprawie, obowiązani byli znać nastrój młodzieży. Poniżej zamieszczamy odpowiedź oskarżonych kolegów z politechniki warszawskiej; deklaracya ich najzupełniej wyjaśnia faktyczną stronę sprawy. Zanim jednak przejdziemy nad nią do porządku dziennego, chcemy przytoczyć ku zbudowaniu naszych czytelników próbkę stylu i sposobu myślenia „Związku socyalistycznej Młodzieży Polskiej“.

Rzekoma obojętność młodzieży w sprawie K.-P. nasuwa autorom odezwy między innemi, następujące uwagi: „Koledzy! Fakt ten, pomimo swej śmiesznej strony, wykazuje straszne niebezpieczeństwo, grożące życiu młodzieży i inteligencyi. Straszne warunki ucisk wszelkiej myśli wolnej zabijają poczucie godności ludzkiej, słabnie nasza wrażliwość, tępieje myśl i cały niemal nasz ogół staje

się bierną masą, obawiającą się czynu śmielszego, myślenia nawet. Zaraza ta niestety wsiąka powoli i w młodzież. Ciasnota pojęć, nieuctwo polityczne, tchórzostwo, połączone z najwyższą nietolerancyą względem kolegów, ludzi o śmiesznej myśli, powszechna dobrowolna... (w tem miejscu opuszczamy zbyt dosadny wyraz) ...ideowa — to dziś, niestety, wybitne cechy życia zbiorowego młodzieży. Stopniowo, od niereagowania na przejawy samowoli rządowej, od obojętności na sprawy publiczne, młodzież przejdzie w stan obojętności na policzki, otrzymywane od szubrawców w rodzaju Korwina-Piotrowskiego".

Jakim prawem — pytamy — „Związek Socyalistycznej Młodzieży Polskiej" rzuca podobne oszczerstwa na naszą młodzież? Przygotowani jesteśmy z góry na to, że odpowiedzi nie otrzymamy: wszak chodzi tu tylko o... prawdę.

= *W sprawie odezwy.* Otrzymaliśmy od Kolegów z politechniki warszawskiej wyjaśnienie z powodu odezwy „Związku Socyalistycznej Młodzieży Polskiej" z d. 15 lutego r. b.; wyjaśnienia tego nie drukujemy w całości, ponieważ w Nr. 2 „Teki" pisaliśmy już o tej sprawie w sposób bardziej szczegółowy i dokładny; podajemy tylko tę część, która jest niejako urzędową opinią studentów Polaków politechniki warszawskiej. *Red.*

„W d. 15 lutego ukazała się odezwa w sprawie p. Korwina-Piotrowskiego, podpisana przez „Związek Socyalistycznej Młodzieży Polskiej". Odezwa ta jest sprzeczną z faktami w punktach, w których zarzuca nam oczyszczenie p. K.-P. z czynionych mu zarzutów i stawanie w jego obronie. Dowodem jest uchwała, orzekająca, iż zarzuty, ciążące na p. K.-P. są prawdziwe i w zasadzie słuszne, cała zaś sprawa jest za mało ważną, aby wymagała zorganizowanej manifestacyi. Jednostkom pozostawiono zupełną swobodę działania. Ustępy patetyczne odezwy są zbyt śmiałe i w zarzutach swych nie mają wspólności z czynnikami sprawy, a tania ich patetyczność obniża w znacznym stopniu powagę odezwy. Całość nie odpowiada wymaganiom, jakie musimy stawiać odezwom do ogółu studentów skierowanym".

Koledzy, którzy posiadają jeszcze listy składkowe *a*) na pomnik Mickiewicza we Lwowie, *b*) na zwrot 200 rs. Moskalom, zechcą je w najkrótszym czasie zwrócić.

W sprawie konkursu na prace historyczne. Ponieważ ustanowiony w r. 1900 konkurs na pracę z zakresu historyi polskiej porozbiorowej jest już zamknięty, prosimy autorów o jaknajrychlejsze przysłanie praw bądź drukowanych, bądź w rękopisach.

Redakcya „Teki.“

Prosimy o wyrównanie zaległości za przedpłatę.

Pokwitowania.

Na Cieszyn. Młodzież gimnazyalna w Jaśle 10·— kor.; mł. gimnazyalna w Brzeżanach 8·— kor.; zebrane na zabawie u p Joba w Przemyślu 3·34 kor.; Z. M. ze Lwowa 1·— kor.; zebrane w Chyrowie u xyz 9·22 kor. młodzież gimnazyalna i realna w Jarosławiu 20·— kor.; braciom cieszyńskim uczniowie VII. kl. gimnazyum pierwszego w Kołomyi (za luty) 11·— kor. = razem 62·56 koron.

Na Skarb Narodowy. Z Jekaterynosłowia 35 rs. = 88·55 kor.; zebrane w Gnieznie u. p. P. P. Ś. 7 20 kor.

Na cele narodowe. xyz z Ukrainy 1 rs. = 2·52 kor.; xyz z Ukrainy 2·20 rs. = 5·54 kor. = razem 8·06 koron.

Na cele wyborcze na Górnym Śląsku. Sk. Lwów 2 kor.; z Karlsruhe Nr. 271 m. 17·85 = 20·91 kor.; Nr. 170 kor. 5; Nr. 171 kor. 6·02; Nr. 299 kor. 1·20 — ze Lwowa. Z Brunświku Nr. 270 mk. 9·20 = 10·60 kor. = razem 45 73 kor. Zebrane z jednodniówki abitur. poznańskich 15 mk. = 17·40 kor.; Nr. 296 zebrane w Stronibabach p. Lwowem 15 kor.

Na młodzież prześladowaną w zaborze pruskim. Z jednodniówki obitur. poznańskich 16 mk. = 18·56 koron.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **akad. Antoni Plutyński.**

Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie
pod zarządem Józefa Ziembińskiego.